

WSPOMNIENIA Z OBOZÓW

Gorzów Wielkopolski, 11 XI 1976 r.

Wydarzenie dopadło nas,
Ma ruchy i sierść
Bestii z czwartorzędu.

Jules Romains, *Europe*

Czesława Malinowska

WSPOMNIENIA Z OBOZÓW

Majdanek – Oświęcim – Ravensbrück – Neu Rohlau – Zwodau
(1943-1945)

 **Sorus**

POZNAŃ

Wydawca: Piotr Szmajda

Redakcja: Andrzej Malinowski i Tadeusz Malinowski

Redakcja techniczna: Jerzy Witkowski

Adiustacja i korekta: Ewa Strycka

Projekt okładki: Magdalena Wielogórska

Przygotowanie części ilustracji: Filip Antoni Malinowski

Copyright © by Andrzej Malinowski and Tadeusz Malinowski

Wydanie pierwsze 2008

Printed in Poland

ISBN 978-83-89949-53-0

Wydrukowano we własnej drukarni cyfrowej

SORUS SC Wydawnictwo i Drukarnia
Siedziba: Daszewice, ul. Piotrowska 31, 61-160 Poznań
Biuro i redakcja: ul. Starołęcka 18, 61-361 Poznań
tel. (061) 65 30 143, 87 87 385, fax 87 72 481
e-mail: sorus@sorus.pl

księgarnia internetowa

www.sorus.pl

Transport

Siedziałam w więzieniu na Zamku Lubelskim, gdy pewnego styczniowego dnia „wyczytano” mnie na transport. Wszystkie wyczytane kobiety spędzono do specjalnej celi transportowej. Następnego dnia znów wyczytano inny transport, a kobiety należące do niego ulokowano w sąsiedniej celi. Żyłyśmy w niepewności, bo nigdy nie było wiadomo, gdzie nas mogą zawieźć, czy do jakiegoś innego obozu, czy na „rozwałkę”. Opuściłam celę, w której znałam już wszystkie kobiety i wiedziałam, za co która siedzi, miałam wśród nich poczucie pewnego bezpieczeństwa. W nowej celi czułam się osamotniona, gdyż nie znałam żadnej z kobiet.

Na drugi dzień zaprowadzono nas do łaźni, gdzie po raz pierwszy kąpałam się nie sama, lecz w licznym towarzystwie współwięźniarek. Później zaprowadzono nas do lekarza, który musiał orzec, czy jesteśmy zdrowe i czy któraś z nas nie jest w ciąży. Ciężarne kobiety zostawały w więzieniu, tutaj rodziły, a dzieci, o ile nie zmarły, co najczęściej się zdarzało, odbierano matkom i umieszczano w niemieckich zakładach wychowawczych. Bezczyenne siedzenie całymi dniami bardzo nas męczyło, kryminalistki chodziły do pracy, a my im zazdrościłyśmy. Jedynym naszym zajęciem było polowanie na wszy, których było bardzo dużo, lub opiekowanie się pobitymi na gestapo – pod Zegarem. Podczas tych czynności zawsze któraś opowia-

dała, za co została aresztowana. W nowej celi byliśmy sobie obce i zawsze bałyśmy się, czy nie ma „wtyczki”. Kobiety chore i ułomne zostały w więzieniu, bo do obozu jechało się do ciężkiej pracy.

Kobiety z drugiej celi transportowej nie były ani w łaźni, ani u lekarza. Była to zła zapowiedź dla transportu. Siedziałyśmy ciche i skulone, bo nigdy nie było wiadomo, czy nie nastąpią jakieś zmiany. Ten drugi transport odszedł z Zamku pierwszy. Widziałyśmy przez „judasza” kobiety ustawione pod ścianą długiego korytarza. „Krowa” (tak nazywałyśmy gestapowca o byczym karku, głowie zawsze pochylonej do przodu i zawsze bardzo głośno krzyczącego) kazał im zostawić na korytarzu zawiniątka i paczuszki, które miały ze sobą. Teraz byliśmy już pewne, idą na „rozwałkę”. Następnego dnia wyprowadzono nas na korytarz. Sprawdzono personalia i wyprowadzono na duży dziedziniec więzienny. Tam czekały ciężarówki, do których nas załadowano, upychając, bo było nas dużo. Dziedziniec więzienny roił się od gestapowców i psów. W końcu otoczone silną eskortą opuściliśmy teren Zamku. Gdy z ulicy Zamojskiej nie pojechałyśmy na dworzec, lecz na szosę chełmską, wiedziałyśmy, że jedziemy na Majdanek.

Obozy



Majdanek

Obóz na Majdanku podzielony był na numerowane pola. Nasze, kobiece pole, znajdowało się na początku obozu i było oznaczone numerem 1. Drugie pole, oddzielone od naszego drutami, zamieszkiwali jeńcy wojenni. Dalej szły następne pola męskie, rewirowe i inne, a na końcu znajdowało się krematorium, obok którego odbywały się egzekucje. Cały obóz był otoczony drutami pod napięciem elektrycznym, a prócz tego każde pole otoczone było siecią drutów kolczastych. Między polami znajdowała się spora przestrzeń, tak że porozumiewanie się z sąsiednim polem było wykluczone. Obok naszego pola znajdowała się z jednej strony „Sauna”, z drugiej pole jenieckie.

Nasze ciężarówki zatrzymały się właśnie przed „Sauną” i tu nas wyładowano. Weszliśmy do dużej sali, w której stało parę ławek, a pod ścianą stół, za którym siedział jakiś mężczyzna, obok stali dwaj inni mężczyźni przy stosie jakichś papierów. Na środku stała oberka, wysoka, zgrabna, bardzo ładna, ale jak się później okazało, zła i okrutna. Kazała nam rozbierać się, a gdy wahałyśmy się, machnęła w powietrzu pejczem i powiedziała, że nie takie jak my rozbierały się tutaj. Trzeba było rozebrać się i z ubraniem oraz bielizną podejść do stołu, podać swoje imię i nazwisko oraz każdą część garderoby osobno. Mężczyzna przy stole zapisywał, drugi kładł podane mu rzeczy

do papierowego worka. Mówili nam, że przy wyjściu z obozu każda dostanie swoją garderobę. Mówili po polsku i jak się później okazało, byli więźniami z męskiego pola.

Z tej sali weszliśmy do innej, równie dużej, gdzie dostałyśmy prysznic (znów wspólna kąpiel, ale dozorowana przez aufzjerki). Gdy już zmyliśmy z siebie więzienny kurz, przeszliśmy do małej salki, gdzie otrzymałyśmy obozową odzież. Ja dostałam koszulkę do pasa, ale z długimi rękawami, reformy bardzo obszerne, pasiak, „jakę” (rodzaj żakietu) i pończochy. Tylko obuwie zostawiono nam nasze. Z pończochami miałam dużo kłopotu, bo nie chciały się trzymać na nogach, opadały, a nie było czym ich przytrzymać. Zresztą były z ostrymi włóknami i drapały nogi. Musiałam z nich zrezygnować i chodziłam bez pończoch. Była zima i moje gołe nogi zwróciły uwagę blokowej z sąsiedniego bloku. Gdy jej wytłumaczyłam powód bojkotowania pończoch, dostałam od niej inne, miękkie, ale każdą innego koloru. Zresztą prawie wszystkie kobiety stosowały się do tej mody.

Gdy już byłyśmy ubrane po obozowemu, zaprowadzono nas na kobiece pole, do „szrajbsztuby”. Tutaj trzeba było długo czekać, ale czasu miałyśmy dużo, do domu nie spieszyłyśmy się! W końcu po sprawdzeniu personaliów każda z nas dostała okrągłą blaszkę z numerem, którą nosiło się na sznurku na szyi (cetelek). Stamtąd zaprowadzono nas na kwarantannę, która, tak jak inne bloki rewirowe, składała się z dwóch sal: jedna była gęsto zastawiona trzypiętrowymi łózkami, z szerszym przejściem przez środek – była to sypialnia. W nigdy nie ogrzewanej sypialni wolno było przebywać tylko od apelu wieczornego do apelu porannego lub jeśli jedna z nas była chora. Cały pozostały czas spędzałyśmy w jadalni, w której było parę stołów, a przy nich stołki. Naturalnie stołków było dużo mniej niż kobiet. Dlatego co rano odbywały się do nich wyścigi, bo żadna z nas nie miała chęci stać cały dzień.

Zima była ostra, bloki słabo opalane. Siedziałyśmy więc skulone, własnymi ciałami ogrzewając jadalnię i czekałyśmy. Czekaliśmy, aż skończy się okres kwarantanny i przydzielą nas do pracy albo wyślą dalej. Ze wszystkich obozów często odchodziły transporty, a ludzi na transport wybierano najczęściej z kwarantanny. Jeśli ktoś gdzieś pracował, mógł być spokojny, rzadko wybierano na transport z innych bloków. Bałyśmy się transportu wśród takiej zimy. Aby skrócić czas oczekiwania, trzeba było rozmawiać z sąsiadkami, wysłuchiwać skarg i żalów, pocieszać. Mówiących było dużo, bo każda chciała zrzucić ciężar z serca. Każda zostawiła rodzinę i miała swoje kłopoty oraz zmartwienia.

Blokową naszą była młoda Niemka (też więźniarka), która z lubością patrzyła na wyścigi do stołków, a przy rozdawaniu posiłków „pantina” utrzymywała porządek w kolejce, bijąc po głowach na prawo i lewo.

Pewnego wieczoru, już po apelu, gdy wszystkie byłyśmy w łózkach, weszła blokowa z miską zupy w ręce i zawołała pewną starą Rosjankę. Obiecała jej dać zupę, jeśli ładnie zatańczy kozaka. Kobieta ta podobno stale była głodna i często tańczyła za zupę. Owego wieczoru miała na sobie tylko spódnice, tańczyła kozaka z przysiadami. Widok był tak makabryczny, że dużo z nas pochowało głowy pod koce.

Gdy wyjeżdżałam z Zamku, pani Jadwiga Teleżyńska powiedziała mi, że jeżeli zawiozą nas na Majdanek, abym tam odszukała jej kuzynki – Żurowskie – które już dłuższy czas tam przebywają, więc może będą mogły mi pomóc. Z kwarantanny nie wolno było wychodzić, okna były pozamarzane, więc nie widziałyśmy, co dzieje się na zewnątrz.

W parę dni po przybyciu na Majdanek jedna kobieta z naszego transportu zachorowała, trzeba było zanieść ją, na noszach, na rewir. Naturalnie znalazłam się zaraz przy

noszach. Była okazja zobaczyć obóz i pójść na rewir. Zaprowadzono nas do jakiegoś bloku rewirowego, gdzie przekazywano chorą. W tej chwili spostrzegłam śliczne, młode dziewczę plus minus 16-letnie, podeszłam więc do niej i spytałam, czy nie zna pani Żurowskiej. Na to ona odpowiedziała: „Ja jestem Żurowska”. Okazało się, że jest to najmłodsza z córek pani Żurowskiej, Kama. Wtedy powiedziałam jej, skąd znam to nazwisko, a ona obiecała, że powie o mnie swojej siostrze Marysi, bo matka jest chora i leży na rewirze. Średnia siostra już wtedy nie żyła. I rzeczywiście, wieczorem przyszły obydwie, pytały, co mi jest najpotrzebniejsze. Pytanie było proste, ale odpowiedź trudna, bo łatwiej było powiedzieć, co mam, niż czego potrzebuję. Przez te parę dni nie myłam się, bo mydło i ręcznik zabrano mi w Saunie. Ręce i twarz wycierałam dołem pasiaka. Panny Żurowskie zajęły się mną życzliwie i dostarczyły wszystkiego, co było w ich mocy.

W jednej z rozmów ze mną spytała mnie Marysia, czy chciałabym pracować na rewirze jako pielęgniarka. Lekarzką naczelną jest Polka, dr Perzanowska, która chętnie pomaga innym. Naturalnie zgodziłam się z radością i w dwa dni później przeniesiono mnie na blok rewirowy, blok dzieci rosyjskich gruźliczych.

Blokową była pani Oleńka Jackowska. Personel bloku był bardzo sympatyczny i zgrany. Ponieważ byłam „Zugangiem”, panie spodziewały się, że jestem biedna w odzież, zaraz przyniosły mi sweter, ciepłe reformy i inne drobiazgi. Blok, w porównaniu z kwarantanną, był elegancki. Nasze panie pomalowały brudne ściany „bolus alba”, któraś z kolorowego papieru, w który była opakowana dla niej paczka, powycinała różne ozdoby i nalepiła na ścianach. Podłoga i stoły były czysto wyszorowane. W tym właśnie bloku pracowały Marysia i Kama Żurowskie. Panny Żurowskie dostawały paczki, których zawartość dzieliły na cztery części: matka, one dwie i ja. Nie pomagały moje

protesty i zapewnienia, że to, co dostaję, zupełnie mi wystarczy. Jadłam więc to, co i one jadły, choć było mi bardzo nieprzyjemnie, że je objadam.

Praca moja na tym bloku polegała na wyprowadzaniu rano dzieci grupkami do „Waschraumu” (coś w rodzaju łazienki), umyciu ich (woda w kranach była zimna), przejściu bielizny, usunięciu wszy, ubraniu i zaprowadzeniu do sypialni, rozdaniu leków, robieniu opatrunków, bo dzieci były owrzodzone. W końcu śniadanie, trzeba było nakarmić młodsze i te, które nie mogły same jeść. Dzieci były smutne, chore, nad wiek poważne, nie śmiały się, nie biegały. Po wyżej opisanych zajęciach miałam bawić się z nimi. Nieznajomość języka rosyjskiego bardzo utrudniała mi pracę. Dzieci rozumiały mnie, już się troszkę nauczyły, ale ja nie rozumiałam rosyjskiego, a tym bardziej ich dziecięcej gwary. To była dla mnie tragedia, chciałam im pomóc lub zorganizować jakąś zabawę, jak bawili się nasi synkowie, a zapytana o coś przez któreś dziecko nie rozumiałam go. Zresztą, dzieci te, chore, ze strasznymi, gruzliczymi wrzodami, nie miały chęci do zabawy.

My, personel, mieszkaliśmy w sąsiedniej sali, w której jednym kącie robiłyśmy opatrunki i zastrzyki, drugi kąt był kątem gospodarczym, gdzie dzielono żywność. Obydwa przedzielał spory występ, który tworzył się. Przeciwległa ściana i środek sali zastawione były piętrowymi łózkami, na których spałyśmy.

Znajdowałyśmy się więc w bliskim sąsiedztwie dzieci, które w nocy krzyczały, płakały, wołały „mama”. Noce te były dla mnie koszmarem, bo przecież niedaleko, w Lublinie, były moje dzieci, moi dwaj mali synkowie. Zdawało mi się, że to oni mnie wołają, a ja nie mogę do nich pójść. Pobyt na tym bloku, mimo życzliwości koleżanek, był dla mnie nie do zniesienia.

Właśnie w tym czasie spodziewany był transport chorych z Ravensbrück na Majdanek. Szykowano dla nich bloki rewirowe i dobierano personel. Może byłam niewdzięczna dla Marysi Żurowskiej, ale poprosiłam ją, aby pomogła mi dostać się na blok gruźliczek z Ravens. Marysia pomogła mi, a ja przestałam nareszcie objadać je i mogłam w nocy, nie słysząc jęków dzieci, spać spokojnie.

Blok gruźliczy był bliźniaczo podobny do bloku dziecięcego, tylko miał ściany nie malowane, co czyniło go wiecznie smutnym i brudnym. Zresztą później już mnie to nie raziło. Blokową była bardzo miła i kulturalna, niska, lecz bardzo proporcjonalnie zbudowana blondyneczka, pani Emilia Ostaszewska – Mila. Były dwie „starsze siostry”: pani Wanda Orłosiowa i pani Hanka Protasowicka, obydwie bardzo miłe i sympatyczne. Wanda O. była zawodową pielęgniarką, więc też była wymagająca. Pielęgniarkami, czyli jak potocznie mówiło się „flegerkami”, były: Irka (nazwiska nie pamiętam, chemiczka, która tu przyjechała z Oświęcimia), Muszka Burkowska, dwie siostry Wanda i Irena Petersówny, Zosia Wróblewska i ja. Naturalnie później były zmiany. „Szrajberką” była starsza pani, pani Halina Stypułkowska. Była to osoba krótkowzroczna, której okulary często spadały. Niezgrabnie też chodziła po śniegu obozowych ulic w swoich pantofelkach na wysokich obcasach. Jej obowiązkiem było chodzenie na apele i meldowanie stanu chorych i personelu na bloku. Chcąc czymś wypełnić czas, bardzo często wyrażałam panią Halinę i chodziłam za nią na apel.

Na dużym placu, między blokami roboczymi a blokami rewirowymi, ustawiały się kobiety idące do pracy. Były one liczone, gdy żadnej nie brakowało, apel był przyjęty i szły do pracy. My, rewir, stałyśmy każda przy swoim bloku, czekałyśmy, aż skończy się apel roboczy i „wrony” (aufzjerki) przyjdą do nas, aby nas policzyć i przyjąć raport o ilości chorych na bloku. Aufzjerki na zielonych

mundurach (zielony żakiet i spódnica-spodnie) nosiły czarne peleryny, które chód lub wiatr rozwiewał i to czyniło je podobnymi do wron z rozpostartymi skrzydłami. Dlatego nazywałyśmy je „wronami”.

Na Majdanku pracowałyśmy na trzy zmiany. Rano rozdawałyśmy leki, robiłyśmy opatrunki i zastrzyki. Leki dostarczał PCK i RGO, tak że chore mogły być leczone. Te zajęcia zabierały nam czas do obiadu, gdyż chorych było dużo. Rozdawaniem posiłków zajmowały się siostry gospodarcze. Na drugiej zmianie mniej było pracy, polegała ona na jakiejś doraźnej pomocy, pilnowaniu porządku, podawaniu basenów. Wtedy można było porozmawiać i poznać chore. Było ich około 150 w naszym bloku. Dużą większość stanowiły Polki, trochę Rosjanek, parę Czeszek, trzy Francuzki, dwie Jugosłowianki i jedna Luksemburżanka. Była też jedna młoda Niemka z Jugendlagru w Ravensbrück. Opowiadała okropne rzeczy o tym lagrze, bała się Niemców. Była ciężko chora na gruźlicę i wkrótce umarła. Mnie bardzo ciekawiły Rosjanki, z którymi zetknęłam się pierwszy raz w życiu. Bardziej chore kobiety leżały nisko, mniej chore na wyższych piętrach.

Aby poznać Rosjanki, trzeba było wybierać zdrowsze toteż wdrapywałam się do nich na trzecie piętro i tu odbywała się moja nauka języka rosyjskiego i tu poznawałam kobiety rosyjskie. Niektóre inne chore były zazdrosne i pytały mnie, czy po wojnie wybieram się do Rosji. A Rosjanki były bardzo sympatyczne i uczynne.

Trzecia zmiana – nocka – była najprzykrzejsza. Okna w bloku były zawsze otwarte, chore chciały świeżego powietrza i nie pozwalały zamykać okien. W dzień, w ruchu, nie czuło się tego zimna, ale w nocy, gdy trzeba było czuwać i być gotową na każde zawołanie, było zimno. Paliło się co prawda w piecyku (żelazna „koza”), ale chłód dokuczał. Większość chorych spała. Podczas moich nocy zbierały się niemogące spać kobiety i opowiadały swoje

przeżycia. Czasem któraś z nich wzięła wiadro, wyszła przez okno, nabrała śniegu, rozpuściła go na piecyku, a gdy woda była ciepła, myła sobie głowę. Ja też miałam w ten sposób myte włosy i układane fale. Przez noc przy piecyku włosy wyschły. W „Waschraumie”, w zimnej wodzie, w dzień, gdy trzeba było pracować, o myciu głowy nie można było marzyć. Ale większość nocek była niespokojna, przerywana jękami, kaszlem, wołaniem o basen. Przy drzwiach do naszej sali, przez którą trzeba było przejść do Waschraumu, w którym były muszle klozetowe, stawiało się na noc dwa „kible”, aby chore, często chodzące jedna za drugą, nie budziły pielęgniarek stukaniem drewniaków. Chore często dodatkowo cierpiały na Durchfall – biegunkę. Pamiętam jedną chorą, noszącą literę F, czyli Francuzkę, ale była Angielką, która wyszła za męża za Francuza. Biedna ta kobieta biegała często od łóżka do „kibla” i często zostawiała za sobą cuchnącą strużkę, którą musiałam sprzątać. Francuzki w ogóle były bardzo nieporadne w obozie, bez ciepłej wody nie umiały się myć, a złapane wszy wyrzucały za okno.

Każda z nas, flegerek, miała swoją podopieczną. Jedną koleżankę opiekowała się Francuzką, panią Pélétier, która we Francji zostawiła sześcioro dzieci. Bardzo nas wzruszył ten fakt, chcieliśmy jej pomóc, ale pani Pélétier nie chciała nic przyjmować poza przydziałem z kotła. Ale po dłuższych pertraktacjach ustaliliśmy, że jedna z koleżanek będzie się u niej uczyła francuskiego, w zamian za co ta koleżanka da jej coś ze swojej paczki. Francuzki nie dostawały paczek. Jugosłowianki, Czeszki i my dostawaliśmy raz na miesiąc paczki z domu i od lubelskiego Czerwonego Krzyża.

Moją podopieczną była madame Demouth, jedyna Luksemburżanka, bardzo kulturalna osoba. Ona też nie otrzymywała paczek, nie chciała nic od nas przyjąć, jeśli się ją czymś częstowało. Mówiła dobrze po francusku,

angielsku i niemiecku. Rozmawialiśmy po francusku, niemieckiego używało się tylko z musu. Zawsze musiałam upatrywać moment, gdy pani Demouth wyjdzie do Wasch-raumu, aby położyć jej pod koc coś z mojej paczki. Ona odgadywała kto podrzuca jej smakołyki (chleb, cebulę, cukierki, kawałek boczk). Sądzę, że sąsiadki jej o tym mówiły. Na Majdanku, na rewirze, gdzie rządziła dr Perzanowska, panował ład, nie kradziono. Perzanowska była wymagająca, surowa, ale sprawiedliwa. Tutaj pielęgniarki były dla chorych, a nie jak w innych obozach, chore były dla pielęgniarek.

W ładne, pogodne, mroźne dni wolno było wyprowadzać chore na spacer, na plac apelowy. Plac był pusty, bo kobiety z bloków roboczych były w pracy, więc nasze chore mogły swobodnie chodzić, a nawet biegać po śniegu. Cieszyły się tymi spacerami, miały złudzenie wolności, mogły oddychać świeżym powietrzem, bo w bloku, mimo stale otwartych okien, panował zaduszek od tyłu źle umytych, pocących się ciał. Chore chętnie chodziły na spacer, miały trochę ruchu, bo w bloku nie wolno było chodzić, trzeba było leżeć na swojej pryczy.

Aby chorym skrócić czas i aby trochę zapomniały o swojej niedoli, doktor Perzanowska zorganizowała zespół „artystyczny” spośród pielęgniarek. Odwiedzały one bloki rewirowe, deklamowały, śpiewały piosenki, najczęściej powstałe w obozie, jak: „Pasiaki”, „Wesoły na Majdanku dzień” i inne. Po koncercie chore miały dużo tematów do rozmów i dopytywały, kiedy znów „artystki” nas odwiedzą.

Pracowałyśmy na trzy zmiany. Po ośmiu godzinach pracy miałam 16 godzin wolnych. Dla skrócenia czasu chodziłam na salę chorych, aby z nimi porozmawiać, pożartować. Nie miałam jeszcze przyjaciółek na innych blokach, do których w wolnych od pracy godzinach mogłabym chodzić. Chore lubiły mnie, ale moja za częsta obec-

ność u nich zjednała mi większą sympatię niż ta, którą obdarzane były moje koleżanki. Zresztą każdej z nas groziło zarażenie się. Dlatego pani Wanda zabroniła mi bywania na sali poza dyżurem. Szukałam więc innego zajęcia. Przyłączyłam się, na ochotnika, do kobiet noszących węgiel dla rewiru. Węgiel znajdował się w stodole, blisko szosy chełmskiej. Widziało się więc trochę wolności, ludzi jeżdżących do i z Lublina. Zdawało mi się, że powietrze było tam jakieś inne, świeższe niż wśród bloków, pachniało wolnością.

W naszej sali, na ścianie dzielącej nas od sali chorych, stały półki, które same zrobiliśmy z zepsutych łóżek i zasłoniłyśmy prześcieradłami. Każda z nas miała tam miejsce na swoje pudełko (paczka z domu) i na swoją miskę. Miski znaczyłyśmy, aby ich nie zamieniać.

Z tymi półkami też była zabawa. Kiedyś jedna z koleżanek wpadła na pomysł zrobienia półek na nasze paczki, które zazwyczaj trzymałyśmy w łózkach. Miła zgodziła się na to i półki stanęły. Przyszedł na wizytację lekarz – gestapowiec, słynny König, zobaczył je i kazał rozebrać, rozebrałyśmy. Ale ledwo wyszedł, półki znów stanęły. Na następnej wizycie znów je zobaczył i znów kazał rozebrać. Tak było trzy razy, potem udawał, że ich nie widzi. My też nie starałyśmy się zwracać jego uwagi na nie. No i półki stały!

Gdy któraś chora zmarła, zdejmowałyśmy jej z szyi cetelek, a numer wypisywałyśmy „sepsa” na piersiach. Zmarłą trzeba było rozebrać i nago wynieść do Waschraumu, gdzie na podłodze czekała do następnego rana. Rano przyjeżdżał dwukołowy wózek ciągnięty przez więźniów i eskortowany przez „wronę”. Mężczyźni z „wroną” wchodzili do Waschraumu, jeden kopnięciem w szczękę otwierał usta zmarłej i jeśli miała złote zęby, wyjmował jej szczypcami. Później zanosili ją na wózek i jechali do następnego bloku po inne zmarłe. Gruźliczki wymierały dość

szybko. Cetelki wraz ze sprawozdaniem odnosiła szrajberka do szrajbsztuby. Te cetelki znów były dawane świeżo przybyłym kobietom.

Pamiętam, było to 1-go kwietnia, któraś z koleżanek znalazła na półce, za swoim pudełkiem, nieżywą spłaszczoną mysz. Musiała przygnieść ją ubiegłego dnia swoją paczką. Ponieważ w szrajbsztubie pracowały Polki, które znałyśmy z częstej tam bytności, postanowiłyśmy zrobić im „prima aprilis”. Na liście zmarłych, na końcu napisaliśmy: „Zuzanna Mysz, urodzona na Majdanku, zmarła 1 IV”. Wszystkie koleżanki ze szrajbsztuby szukały kartoteki Zuzanny Mysz, aż w końcu pani Halina przypomniała im, że to jest właśnie 1-szy kwiecień. Więc kawał udał się.

Rewir na Majdanku był pod energicznymi rządami doktor Perzanowskiej. Godziny pracy i odpoczynku były ściśle przestrzegane. W bloku musiało być czysto, pielęgniarce schludne i uprzejme. Pielęgniarce były dla chorych i musiały spełniać wszystkie ich życzenia. Nie wolno było nic od chorych przyjmować.

Pewnego razu paliłam papierosa. Zobaczyła to pani Wanda i spytała, skąd mam papierosy. Dostałam je od Jugosłowianki, która przez szwajcarski Czerwony Krzyż dostała paczkę, a w niej papierosy. Jugosłowianka nie paliła, zresztą chorym nie wolno było palić, więc papierosy mi oddała. Niestety, nie wypaliłam ich, musiałam dla przykładu oddać je dla mężczyzn, na męskie pole. W ogóle w obozie nie wolno było palić, ale jak nie wolno, to prędko, byle żaden Niemiec nie zobaczył. Za palenie bardzo bili, a nawet można było wylecieć z rewiru do ciężkiej pracy na lagrze. Ja paliłam. Lubiłam palić w łóżku przed snem. A moje koleżanki narzekały, że ich sienniki są coraz chudsze, bo ja im wszystko siano z sienników wyciągam i wypalam.

Jeszcze przed moim aresztowaniem wiedziałam, że mój szwagier jest na Majdanku. Gdy więc jako tako oswoiłam

się z Majdankiem, zaczęłam go szukać. Szukałam go przez kobiety, które z naszego pola chodziły na męskie pola do pracy. No i znalazłam go. Kobiety, które pracowały w koszykarni, powiedziały mi, że taki jest, że pracuje w koszykarni, że nosi na plecach i na piersiach duże czerwone koło (niebezpieczny, nie wolno mu było wyjść do pracy poza obóz). Pewnego dnia, gdy miałam wolne, poprosiłam blokową z bloku, z którego kobiety pracowały w koszykarni, a którym noszono od nas kotły z obiadami, aby mi pozwoliła iść z obiadem. Droga nie była łatwa. Na bramie sprawdzono nas, spisano numery wychodzących. Kocioł był ciężki, śnieg przylepiał się do drewniaków, nogi wykrzywiały się w kostkach. Drewniaki pożyczyłam, bo w swoich półbutach nie mogłam brnąć po śniegu. Ale doszłam. Teraz trzeba było ustawić warty, aby „wrona” ani żaden „posten” nie weszli i nie zobaczyli, że rozmawiam z więźniem. Rozmowy kobiet z mężczyznami były zabronione i surowo karane. Radość nasza i smutek z tego spotkania były wielkie. Musiałam szwagrowi opowiedzieć o siostrze, ich dzieciach i o całej naszej rodzinie. Mój szwagier, Jan Aftanas, zawodowy oficer, nigdy koszy nie robił i jestem pewna, że nie wiedział, z której strony trzeba zacząć robotę kosza. Coś robić musiał, nie wolno go było wysyłać poza obóz z powodu czerwonego koła na białym tle, które nosił na plecach i piersiach. Zgłosił się jako „koszykarz – amator” do koszykarni. Poznałam tam paru jego kolegów, którzy go bardzo chwalili, że jest koleżeński, że podtrzymuje ich na duchu, że im śpiewa i opowiada kawały. Spotkałam tam też Wacka Lipskiego, męża mojej dobrej znajomej z wolności. Lipscy razem byli aresztowani w Lublinie, ale Myszkę Lipską wywieziono z Zamku do Ravensbrück.

Chodziłam tam parę razy. Pewnego dnia rozeszła się u nas wiadomość, że z męskiego pola odchodzi transport. Zwolniłam się na moim bloku, koleżanka mnie zastąpiła,

a ja poszłam znów z obiadem dla naszych kobiet. Zobaczyłam Jaśka już w kolumnie, gotowej do wymarszu z obozu. Widział mnie też i z dala pożegnał, jechał do kamieniołomów. To było ostatnie nasze widzenie się. Po wojnie dowiedziałam się, że jego ostatnim obozem było Dachau, skąd już nie wrócił.

Lubelska Rada Główna Opiekuńcza i PCK przysyłały na Majdanek lekarstwa i żywność dla chorych Polek. Leki bardzo się przydawały. Żywność dzielona była między chore i połowę personelu. Co drugi raz każda z nas dostawała przydział żywności. Byłyśmy młode i łatwo mogłyśmy zarazić się gruźlicą. Raz dostałyśmy kocioł białych klusek ze skwarkami. To była uczta na rewirze! Jeszcze dzisiaj pamiętam smak tych klusek!

Na Majdanek przychodziły paczki od rodzin. Z każdego bloku szły dwie kobiety z tragami pod blok administracyjny i stały pod oknem, w którym urzędowała „wrona” i któraś Polka ze szrajbsztuby. Polka brała paczkę leżącą na stosie innych, czytała nazwisko i blok, aufzjerka przecinała sznurek, odwijala paczkę i badała jej zawartość. Nie wolno było przesyłać leków, listów ani suchego prowiantu. Przeglądała więc skrupulatnie, czy nie znajdzie czegoś, co mogłaby skonfiskować. Jednak na rewir, dla chorych, pozwalano przesyłać suchy prowiant. Zabierałyśmy nasze paczki i później w bloku była radość, bo kobiety częstowały się, a my, pielęgniarki, miałyśmy dodatkowe zajęcie, bo gotowałyśmy dla naszych chorych kasze i makarony na rurze od piecyka. Raz w miesiącu każda więźniarka mogła dostać paczkę. Miałyśmy też drukowane karty z podziękowaniem za paczkę i z pouczeniem, co można wysłać w paczce do obozu. My tylko podpisywałyśmy się.

Między wspomnianą półką na ścianie a piętrowymi łózkami, na których spałyśmy, stał długi stół, zawsze czysto wyszorowany, a wokół niego ławki. Przy tym stole jadałyśmy nasze posiłki. Pewnego dnia pani Wanda

„zorganizowała” prześcieradło, podzieliła je na tyle części, ile nas było i powiedziała, abyśmy sobie zrobiły serwetki pod miskę i chleb. Mnie serwetkę obrąbiły chore, rade, że mogły się czymś zająć. Skąd wzięły nici, było i jest dla mnie tajemnicą.

Któregoś pięknego marcowego dnia 1944 roku przyszła do nas doktor Perzanowska i powiedziała, że wszystkie chore mają wyjechać do Oświęcimia i że Oświęcim zażądał 50 pielęgniarek z Majdanka. Więc która chce, może jechać do Oświęcimia. Naturalnie ona nie może zaręczyć, że będziemy pracowały na rewirze. Pozostałe pielęgniarki mają jechać do Ravensbrück. Chorowałam wtedy na anginę, a moje anginy są przewlekłe, ale zgłosiłam się do Oświęcimia. Zostawałam w Polsce, miałam nadzieję pracować na rewirze, a jadąc do Ravens miałam pewność, że będę pracowała w fabryce amunicji. Teraz zaczął się okres przygotowywania chorych do transportu, a chore były podejrzliwe, bały się transportów. Gdy wyjeżdżały z Ravens, powiedziano im, że jadą do gazu. Musiałyśmy im tłumaczyć i zapewniać, że i my jedziemy z nimi. Na drogę dano dla chorych pantofle wydrażone w jednym kawałku drewna. Jak w tym chodzić? Dano też chorym reformy płócienne, których jedna nogawka była uszyta z płótna w niebieską kratkę, a druga w różową. Piękne były! Włożyłam więc „pantofle” i reformy i poszłam do chorych pokazać, jakie piękne balowe pantofle dali nam Niemcy na bal maskowy. Miałam poczucie humoru, lubiłam żartować. Chore już znały mnie z tego, więc udało mi się je przekonać, że takie pantofle i reformy są lepsze niż żadne.

Gdy transport był przygotowany, zaczęto wywozić chore ciężarówkami na dworzec w Lublinie. Ostatnią ciężarówką pojechałyśmy my, pielęgniarki, oraz dwie lekarki: doktor Perzanowska i doktor Ada Brudkowska. W samochodzie stałyśmy i tyle oglądałyśmy „wolność”. Pociąg nasz stał na boczniczy, wagony towarowe były wyłożone

słomą, o co postarał się PCK. Ale w wagonach był tłok, nie wszystkie chore mogły leżeć, kładły się więc jedne na drugie, przygniatały sobie nogi, powstawały spory. Wagon zamknięto. W kącie stał „kibel”. W naszym wagonie było nas 50 i parę ciężiej chorych, też ciasno, a drzwi były otwarte, przy nich stała ławka, na której siedzieli wartownicy. Byli to Jugosłowianie, ustąpili nam ławkę, a sami siedzieli w drzwiach, mając nogi spuszczone na zewnątrz. Pociąg jechał wolno, któryś z wartowników zasnął i wypuścił karabin z rąk. Towarzysze obudzili go, wyskoczył z pociągu, odnalazł karabin, dogonił pociąg i wskoczył do wagonu. Ale przed większymi stacjami zamykano nas. Jechaliśmy parę dni. Oglądałyśmy bezlistne lasy, szare pola, na których w załamaniach widać było jeszcze śnieg. Był początek kwietnia.

Oświęcim

Trzynastego kwietnia w nocy pociąg nasz stanął. Nie wiedziałyśmy, co to znaczy, ale raniutko zaczęto otwierać drzwi. Świtało, było mglisto i zimno. Jacyś ludzie w pasiakach podbiegli do drzwi i kazali nam wychodzić. Wyszłyśmy, zbiłyśmy się w kupkę i z lękiem rozglądałyśmy się na boki. A to, co widziałyśmy, nie było przyjemne. Pootwierano wszystkie wagony i wyprowadzono chorych (jechał z nami też i rewir męski). Można sobie, a raczej trudno sobie wyobrazić, w jakim stanie znajdowali się chorzy po paru dniach jazdy w zamkniętych wagonach. Wielu umarło, tych wyciągano z wagonów za ręce i ciągnięto dalej. Przy tej czynności z wychudzonych ciał zsuwały się spodnie i przytrzymywane przez obute stopy wlokły się po ziemi. Ludzie wyładowujący transport uwijali się szybko, poganiani przez esesmanów. Dookoła była mgła, więc wyglądali jak zjawy. My stałyśmy z boku i przyglądałyśmy się temu. Trudno zapomnieć ten widok. W porównaniu z Majdankiem Oświęcim wydał nam się straszny. Po jakimś czasie załadowano nas na ciężarówki i zawieziono na Brzezinkę, słynne Birkenau.

Wyjechałam z Majdanka z anginą, w drodze nie mogłam jej wyleczyć, więc miałam wysoką temperaturę, ledwie trzymałam się na nogach. Koleżanki mnie podpierały, trzeba było ukryć chorobę, bo słyszałyśmy, że w Oświę-

cimiu nie wolno chorować, a już pielęgniarka nie może sobie pozwolić na chorowanie, traci pracę i znów jest do dyspozycji, a więc biorą taką do najcięższych robót, gdzie szybko się wykańcza.

Zapędzono nas do jakiegoś pustego baraku i tu miałyśmy czekać, czekać, ciągle czekać. Blok nie miał podłogi, tylko klepisko, na którym porozrzucane były cegły. Kobiety siadały na tych ceglach, dla mnie też znalazły się cegły, na których usiadłam, opierając się o ścianę. Jeść nam nie dano. Dojadaliśmy resztki z paczek i to, co która zaoszczędziła z chleba danego nam na drogę. W tym baraku czekałyśmy do następnego dnia, podczas gdy esesmani ze specjalnym komandem zajmowali się chorymi, które szybko trzeba było rozlokować na rewirze. Następnego dnia kazano nam wyjść przed barak. Ustawić się w dwa szeregi i podchodzić do dwóch więźniarek, Żydówek, które nas tatuowały. Stojąc w ogonku, obserwowałyśmy tatuowanie. Więźniarka, która tatuowała nasz szereg, wypisywała duże niezgrabne cyfry, a ta druga robiła ładne małe cyferki. Orzekłyśmy, że ma „ładniejszy charakter pisma” i kilka z nas przeniosło się do niej. W ten sposób moje lewe przedramię jest ozdobione ładnym, małym dowodem przyjaźni niemiecko-polskiej! Tutaj dostałyśmy już kolejne numery, które zaczynały się od 77 tysięcy. Numery nie powtarzały się tak jak na Majdanku. Gdy któraś kobieta tam umarła, jej numer dawano nowo przybyłym.

We wszystkich obozach wszystkie więźniarki miały numer. Nosiło się je na lewej piersi, drukowane na skrawku białego płótna. Pod numerem nosiło się „winkiel”, trójkąt równoramienny, wierzchołkiem w dół. Trójkąty były różnego koloru: czerwone – polityczne, zielone – kryminalistki, czarne – społeczne, fioletowe – badaczki Pisma Świętego. Na winklach były litery odpowiadające państwowości więźniarki, np. P – Polka, F – Francuzka,

T – Czechosłowaczka, I – Włoszka, R – Rosjanka; S.U. – Soviet Union miały Rosjanki służące w wojsku. Niemki miały winkle bez litery, Żydówki żółte gwiazdy. W Oświęcimiu Żydówki miały pod tatuażem trójkąt (pół gwiazdy), a Cyganki pod numerem wytatuowaną literę Z.

Pod wieczór, już wszystkie z tatuażem, zaprowadzono nas do sauny, do dużej sali z betonową podłogą, świeżo zmytą wodą, ale niewytartą. W tej sali miałyśmy spędzić noc bez koca na mokrym betonie. Ale ponieważ byłyśmy zmęczone, więc spałyśmy, siedząc lub leżąc. Rano podłoga była już sucha.

Idąc do sauny, z prawej strony, koło drzwi, widziałyśmy stos czegoś. Jestem krótkowidzem, szkła odebrano mi jeszcze w więzieniu, więc dopiero gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, co to było. Był to stos nagich, wychudzonych mężczyzn. Wielu z nich już nie żyło, ale niektórzy z nich jeszcze żyli. Jeden modlił się. Nie mogłyśmy mu pomóc, musiałyśmy iść dalej. Na drugi dzień rano przyjechała ciężarówka i zabrała ich do krematorium. Podczas gdy my spałyśmy na mokrym betonie, oni umierali za drzwiami z wycieńczenia i zimna.

Tego dnia zaprowadzono nas znów do sauny. W saunie pracowały więźniarki – Żydówki. Najpierw przejrzały nasze pudełka, co uznały za niepotrzebne nam, a potrzebne im, zabrały. Następnie ogoliły nas „na kolano”, w ogóle usunęły nam wszystkie włosy z ciała, bo Niemcy obawiali się, abyśmy nie przyniosły wszy z Majdanka, a z nimi tyfusu. Zabrano nam pasiaki i bieliznę, powieszono to wszystko na specjalnych wózkach i dano do prania. Przed wejściem do sali, w której zainstalowane były prysznice, znajdowało się zagłębienie w betonie. To zagłębienie wypełnione było wodą z dodatkiem jakiegoś płynu odkażającego i każda z nas musiała tam zamoczyć nogi. Nie wiem, jaki miało mieć cel to moczenie nóg w tej samej wodzie przez setki osób.

Kąpiel, a raczej prysznic, byłby przyjemny, bo woda była ciepła, ale pod ścianami stali esesmani i przy pomocy węży płukali nas zimną wodą. Po kąpeli przeszliśmy do drugiej, mniejszej salki, w której czekałyśmy długo na nasze wyprane ubrania. Wszyscy więc więźniowie chorzy i chore dostali nowe, to znaczy inne ubrania. A nam dano nasze pasiaki z Majdanka. Z sauny zabrano nas na kwarantannę.

Obóz Oświęcim II, czyli Brzezinka (Birkenau) był podzielony na dwie części szerokim pasem ziemi, po której biegł tor kolejowy prowadzący do sauny i krematoriów. Z prawej strony tego pasa rozmieszczone były lagry męskie (na Majdanku mówiło się pola), cygański lagier rodzinny, a tuż przy wejściu do obozu była kwarantanna. Po lewej stronie torów kolejowych rozciągał się F.K.L. (Frauenkonzentrationslager) – obóz kobiecy. Wszystkie te lagry oddzielone były od siebie kolczastymi drutami, przez które przepływał prąd elektryczny.

Kwarantanna przedzielona była drutami na dwie części: męską i kobiecą. Na męskiej części kwarantanny był ambulans, a na kobiecej znajdowała się kuchnia. Chodzenie z jednej części do drugiej było zabronione. Przez obydwie te części przechodziła uliczka, na której przy drutach dzielących męską i kobiecą kwarantannę stali greccy Żydzi zamieszkali w męskiej części i pilnowali przejścia. Ale mężczyźni musieli chodzić do kuchni po chleb i kotły z jedzeniem, a my nieraz potrzebowałyśmy środków opatrunkowych i leków. W takich wypadkach można było dostać pozwolenie na przejście do drugiej części. Często ktoś miał znajomych lub krewnych na sąsiedniej kwarantannie, więc dochodził do porozumienia z Żydami, którzy „udawali” Greków i przepuszczali.

Oświęcim, jak wszystkie inne obozy, otoczony był drutami pod napięciem elektrycznym. Na linii drutów co jakiś kawałek umieszczone były na słupach budki wartowni-

cze, w których czuwali postenowie i w razie, jeśli im się coś nie podobało w obozie – strzelali. W nocy świeciły silne reflektory. Bloki były bardzo duże, środkiem biegł długi „japoński” piec. Przy dwóch długich ścianach bloku stały „buksy”, coś w rodzaju wieloosobowych prycz. Trzypiętrowe, przymocowane do ścian, w głowach podniesione tak, że leżący w nich ludzie opierali się stopami o dolną krawędź. W „buksie” leżało 5-6 chorych. Bloki nie miały okien, wąskie okienka umieszczone były wysoko w suficie, tak jak wywietrzniki w tramwajach. Przed dużą „salą” była sień, która miała po obu stronach małe pokoiki, w których mieszkał personel bloku. Okna tych pokojów wychodziły na sień. W bloku było duszno i ciemnawo. Waschraum, osobny budynek, znajdował się przy drutach oddzielających męską część kwarantanny i tam chodziliśmy po wodę, aby umyć chore, które nie mogły wstać.

Ten Waschraum to był ciekawy budynek. Zaraz przy wejściu znajdowały się drewniane koryta umieszczone na podmurowaniu, a nad nimi biegły rury z kranami. Tam myliśmy się. Dalej, za drewnianą ścianą, były ubikacje. Były to cztery rzędy desek z okrągłymi otworami. Tam najczęściej odbywały się spotkania znajomych, bo na obce bloki nie wolno było chodzić. A jeszcze dalej było małe pomieszczenie, do którego wynosiliśmy zmarłe.

Jedzenie z kuchni przynosili nam owi greccy Żydzi. Trzy razy dziennie zgłaszali się u nas i dyżurna fleggerka szła z nimi do kuchni, aby dopilnować ilości kotłów. Nocny dyżur kończył się z chwilą, gdy do bramy zapukali nasi nosiciele żywności. Rano był jakiś zielonawy płyn, podobno była to gotowana, suszona pokrzywa. Na obiad była, jak zawsze, brukiew pływająca gdzieś w burej wodzie. Nasze chore były bardzo chore i nie mogły jeść, więc często zostawało sporo zupy w kotłach. Nasi nosiciele żywności czekali przed blokiem na puste kotły, które odnosili znów do kuchni. Na wynoszone kotły rzucali się

z łyżkami w rękach, odpychali się, bili, aby tylko móc wy-skrobać resztki z kotłów. Nie raz zdarzało się, że te smętne resztki wylewały się z kotłów w czasie szarpaniny.

Nosiciele byli zawsze ci sami. Idąc do kuchni, miałam czas rozmawiać z jednym z nich, który znał język francuski. Wiedzieli, co ich czeka w Oświęcimiu. Staralam się dodać mu otuchy i trochę podtrzymać go na duchu, ale on uśmiechał się gorzko. I rzeczywiście, któregoś dnia ogłoszono „Blocksperrę”, nie wolno było wychodzić z bloków. Ale we wrotach były szpary i przez nie widziałyśmy, co działo się na lagrze. Na ulicę lagrową zajeżdżały tyłem samochody i stawały w przejściu z części kobiecej na męską. Na męskiej części, przy przejściu, zgromadzeni byli Żydzi, którzy musieli rozebrać się i wejść nago na ciężarówkę. Gdy samochód był pełen, odjeżdżał, a podjeżdżał następny. Byłyśmy bardzo wstrząśnięte tą akcją.

Do ambulansu trzeba było chodzić dość często, bo kobiety miały różne wrzody, krosty i świerzb. Ile razy byłam w ambulansie, tyle razy widziałam tam różnych „gamli” (w innych obozach byli to „muzułmanie”, a w jeszcze innych „szmuksztyki”). Byli to ludzie chorzy, brudni, zaniedbani, opuchnięci lub szkielety okryte w pasiaki. Kobiety lepiej trzymały się, były schludniejsze, jakoś prędzej udawało się je skłonić do mycia, jeśli nie one same, to fleggerki pilnowały porządku. Ci biedacy stali w ogonku i czekali na opatrunki lub lekarstwa. A lekarstw było mało, to już nie Majdanek i PCK oraz RGO nie miały tutaj dostępu. Wyglądali strasznie, poowijani w koce, kołdry (wczesna wiosna), ledwie trzymający się na nogach.

O lekach nie można było marzyć. W ambulansie dostawałyśmy trochę waty, papier toaletowy jako bandaż, trochę różnych kropelek i maści, najczęściej na „krece” (świerzb). I to miało być wszystko dla ciężko chorych. Toteż leki trzeba było zastąpić uśmiechem, żartem, humorem, dobrym słowem. Byłam kiedyś w ambulansie po

środku opatrunkowe, wydawał je flegler z literą F na czerwonym winklu, więc Francuz. Rozmawiałam z nim po francusku, aż tu przyszedł jakiś „hefling” i mówi do niego po polsku. Zdziwiłam się, że tak dobrze mówi po polsku. Okazało się, że był to Żyd z Równego, który przed wojną wyjechał do Francji i tam go aresztowano. Miał na imię Jerzy – Georges, więc nazywali go Żorzyk. Bardzo się spieszył, gdy mu zrobiłam wymówkę, że przecież łatwiej nam rozmawiać po polsku. On też poszedł do gazu.

Kiedyś byłam na męskiej kwarantannie z koleżanką, Kazią Brukało, której mąż leżał chory w jednym z kwarantannowych bloków. I właśnie tam spotkałam znów Wacka Lipskiego, był chory, mało wychodził.

Pewnego dnia przyszedł do nas lekarz, więzień, Polak, dr Piechowiak z męskiego lagru. Wypytywał, czego nam brak, jak się czujemy, skąd jesteśmy itd. Ponieważ wiedziałam, że w Oświęcimiu jest cioteczny brat mojego męża, Bogdan Tarchalski, więc zapytałam, czy przypadkiem nie spotkał takiego. Okazało się, że są na jednym lagrze i dobrze się znają. Przesłałam Bogdanowi pozdrowienia, a w dwa dni później ten sam lekarz przyniósł mi paczkę, w której był chleb, papierosy, pudełko sardynek i para krótkich męskich kałesonów. Na męskim lagrze wiadano, że transporty są rozbierane przed kąpielą, a później bardzo skapo ubierane, więc czym mógł, tym podzielił się ze mną. Koleżanki śmiały się z tych kałesonów, ale zażdrościły mi. Ponieważ na kwarantannie nie pracuje się, więc karmiono nas bardzo skapo, w myśl zasady, że kto nie pracuje, ten nie je. Z prowiantów przyniesionych przez owego lekarza urządziłyśmy sobie lukullusową ucztę.

W jaki sposób któraś z koleżanek zdobyła karty, nie mam pojęcia. Ale karty przydały się, gdy miałyśmy wolny od pracy czas, grałyśmy w różne gry. Pewnego dnia, gdy grałyśmy, a ja siedziałam tyłem do okna, zobaczyłam, że moje koleżanki nagle rzuciły karty na stół i utkwiiły oczy

w oknie. Obejrzałam się i ścierpłam, za oknem stał esesman. Wszedł do naszego pokoiku i uspokoił nas, mówiąc, że on został przydzielony do SS, ale nie jest Niemcem, lecz Słowianinem.

Ponieważ nasz pobyt na kwarantannie zbliżał się ku końcowi, miał przyjść „Arct”, aby obejrzyć flegerki, czy nie są chore. Na oświęcimskiej kwarantannie dostałam dziwnych, swędzących wyrzutów na ciele, które, szczególnie nocą, bardzo swędziały. Obawiałam się, że to może być świerzb, a w takim razie nie mogłabym być pielęgniarką. Smarowałam się różnymi mazidłami, ale nic nie pomagało. Udałam się więc do dr Perzanowskiej, która uspokoiła mnie, mówiąc, że jest to awitaminoza. Z awitaminozą walczyłam do końca mojej obozowej kariery, a i później, po wojnie, zęby mi wypadły, miałam bóle żołądka z powodu braku kwasów żołądkowych. Długo też miałam sine plamy na nogach.

W końcu kwarantanny znajdował się blok zajęty przez Żydówki przywiezione z Majdanka. Pewnego dnia była znów „blokszpera”, miano wywieźć Żydówki, ale te broniły się, była strzelanina, podobno wszystkie zabito.

Przed przejściem na F.K.L. postarałam się o widzenie z Wackiem Lipskim. Wyglądał źle, pożegnałam się z nim i zostawiłam mu skarpetki wełniane, które zrobiła mi jedna chora ze starego swetra. Skąd wzięła druty, nie wiem, ale drut kolczasty można było znaleźć. Chore chętnie coś robiły, bo beczynne leżenie w „buksach” bardzo dokuczało.

F.K.L. był podzielony na lagier A i na lagier B. Każdy otaczała sieć drutów. Sporą część lagru A, oddzieloną drutami, stanowił rewir – szpital obozowy. Najpierw umieszczono nas (50 pielęgniarek i 2 lekarki) w zwykłym bloku. Cztery takie bloki miały jeden blok waszraumowy i jeden ustępowy. Można sobie łatwo wyobrazić, że tak do jednego, jak i do drugiego, trudno było się dostać. Przy

wejściach do tych bloków stały funkcyjne więźniarki, które mogły nie wpuścić więźniarki, jeśli ta im się nie podobala.

Ostatni blok przeznaczony był dla rekonwalescentek, ale w bloku mogły one tylko spać w nocy. Po rannym apelu, aż do apelu wieczornego, wychodziły za blok na „Wiese” – łąkę. Ale na tej łące nie rosło ani źdźbło trawy, leżało tylko trochę kamieni, na których owe rekonwalescentki siedziały, czekając na przydzielenie do pracy albo na transport.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam F.K.L., ujrzałam kobiety noszące cegły. Chodziły wolno, nosiły po 2-3 cegły. Pomyslałam, że przecież można by nosić więcej i chodzić szybciej, a po skończonej pracy odpocząć. Ale jakże się myliłam! Nie znałam lagru, wtedy jeszcze nie wiedziałam, że gdy przeniosą wszystkie cegły, będą musiały odnosić je z powrotem na dawne miejsce.

Trzy dni chodziłyśmy pod aryjski ambulans (bo był i żydowski, ale gdzie indziej) i czekałyśmy na Arzta. W tym czasie nie dawano nam jeść. Karmiły nas oświęcimianki, przynosząc kawę w dzbankach i chleb w fartuchach. W końcu przyszedł Arzt i podzielił ręką naszą kolumnę: połowa na rewir, połowa na lagier. Nie pytał czy która była zawodową pielęgniarką, czy też – jak ja – ochotniczką. W ten sposób i tutaj dostałam się na rewir.

Przydzielono mnie i trzy inne koleżanki do bloku, który był w remoncie. Układałyśmy podłogę z cegieł, rozrabiałyśmy i nosiłyśmy cement. Po ułożeniu podłogi malowano ściany wapnem, przy czym pochlapano podłogę, którą musiałyśmy skrobać, aby oczyścić cegły. Gdy cegły były ładne, czerwone, ustawiałyśmy łóżka (piętrowe pryce). Blok ten był dawniej blokiem durchfallowym (biegunka), więc sienniki były przegniłe, leżała ich duża sterta w pewnej odległości od bloku. Trzeba je było przejrzyć i wysypać z nich przegniłe wiórki drzewne (bo sienniki

były napełnione wiórkami). Blokową była tu Polka, Magda Hermes z Łodzi, osoba niedobra, łaśa na pochlebstwa. Lubiła, gdy jej mówiono: „Ach, jak pani blokowa ładnie dzisiaj wygląda” albo coś w tym rodzaju. Ponieważ ja nie miałam zamiaru stosować się do tego zwyczaju, nie lubiła mnie i dała jako „pucerkę” do pielęgniarki, która nie potrafiła chorej zmierzyć temperatury. Naturalnie blokowa wyznaczyła mnie do tych sienników. Praca była ohydna.

Gdy pewnego dnia przyszła do mnie, do naszego bloku, moja podopieczna z Majdanka, madame Demouth, która jako niegorączkująca chora kopała rowy na lagrze, a potem je zasypywała (dużo kobiet tak pracowało), nasza blokowa zrobiła mi awanturę, a panią Demouth wyrzuciła. Była wczesna wiosna, kobieta chora (gruźlica), ciężko pracowała, była zmęczona, więc chciała odpocząć trochę pod dachem (jeśli chora nie miała 39°C temperatury, nie wolno jej było przyjąć na rewir i wyrzucano ją). Ale trzeba trafić, że kiedyś, później, gdy pani Demouth zachorowała na tyfus brzuszny (a nasz blok był blokiem tyfusowym) i leżała na naszym bloku, przechodziła nasza Lagerälteste – Orli (Aurelie), zobaczyła panią Demouth i poznała ją. Znały się z czasów, gdy Orli musiała kiedyś uciekać przed gestapo z Niemiec i schroniła się w Luksemburgu. Orli odwiedzała często panią Demouth, a Magda była teraz dla niej słodziutka, ale pani Demouth w ogóle jej nie dostrzegała.

W Oświęcimiu pielęgniarki miały dużo ciężkiej pracy. Mieszkałyśmy w bloku personalnym, skąd chodziłyśmy do swoich bloków do pracy. Rano budził nas gong. Był to kawałek szyny wiszący na drucie, w który ktoś mocno uderzał kawałkiem żelaza. I zaraz blokowa wołała „Aufstehen”. Trzeba było szybko ubrać się i biec do kuchni po kotły z kawą (ale to nie była kawa, lecz jakaś lura). Kotły miały uchwyty, w które wkładało się drągi i na tych

dragach nosiłyśmy ciężkie kotły do bloków. Rozdawałyśmy „kawę” chorym, przynosiłyśmy wodę do mycia, bo tylko w jednym gruźliczym bloku był kran z wodą. Myłyśmy chore niewstające, poprawiałyśmy koce, myłyśmy baseny, szorowałyśmy podłogę (a do wszystkiego nosiłyśmy wodę), no i nareszcie mogłyśmy siebie doprowadzić do porządku. Chore chodzące myły się same, ale wodę trzeba było im przynieść. Każdy blok podzielony był na „sztuby”, każda „sztuba” miała swoją pielęgniarkę, a ponieważ moja pielęgniarka, Janka, nie nadawała się właściwie na pielęgniarkę, więc miała mnie, „pucerkę”. Każda pielęgniarka miała wiadro i 2-3 miednice do mycia. Wszystkiego trzeba było pilnować jak oka w głowie, bo tych rzeczy blokowa nie dawała, trzeba było kupować za chleb. A często zdarzało się, że te przedmioty ginęły i były znów przedmiotem handlu. Myłyśmy się na tych sławnych japońskich piecach.

Po tych zabiegach mierzyłyśmy chorym temperaturę i czekałyśmy na lekarkę, więźniarkę, obchodziłyśmy z nią chore, zdawałyśmy sprawę z tego, jak się która czuje, rozdawałyśmy „kropelki”, bo leków nie było. Zaraz potem było rozdawanie chleba (raz dziennie). Raz w tygodniu dostawałyśmy maleńką kosteczkę margaryny, a raz cieniutki plasterek kiełbasy. Ale jakoś nie rzałyśmy po niej. Po rozdaniu chleba, który pobierałyśmy w pokoiku blokowej, pokrojony i tyle porcji, ile miałyśmy chorych na sztubie (naturalnie chleb krojono tak, aby zostały oszczędności, które blokowa z przyjaciółkami smażyła na piecu w swoim pokoiku, a my wachałyśmy smakowite zapachy i połykałyśmy ślinę). Później szłyśmy z dragami po obiad, rozdawałyśmy go, pozbierałyśmy puste miski, pomyłyśmy je w Waschraumie i teraz następowała godzina „ciszy południowej”.

Każda pielęgniarka miała na swojej sztubie wolne łóżko, w którym przechowywała swoje skarby: paczkę z domu, miskę, łyżkę, grzebień, mydło, szczoteczkę do zębów

itd. Na tym łóżku odpoczywałam godzinę, jeśli nie miałam dyżuru. Dyżurna pielęgniarka musiała podczas tej godziny podawać baseny chorym z całego bloku, jeśli chore tego potrzebowały. Potem znów mycie podłogi, zajęcia przy chorych i apel.

Apel miałyśmy na placu między blokami rewirowymi, odbierał go Lagerältester, Niemiec, więzień, nazywał się Schuster, więźniowie z męskiego lagru chwalili go. Towarzyszyły mu Lagerälteste Orli i Lagerkapo Greta. Obydwie były Niemkami, więźniarkami, miały niskie numery i były sympatyczne (polityczne). Po apelu szłyśmy na blok personalny, opowiadałyśmy sobie wrażenia dnia, wspominałyśmy czasy wolności i snułyśmy marzenia na przyszłość. Często przychodziła do nas Orli i rozmawiała z nami.

Bloku ustępowego na rewirze nie było, tylko były tak zwane „suche klozety”. Obowiązkiem pielęgniarek było wynoszenie „kibli” do specjalnego dołu betonowego, zakrytego, który miał otwór zasłonięty gęstą kratą. Przy tym otworze stała więźniarka z kijem, którym sprawdzała, czy w wylewanym „kiblu” nie ma szmat. Dlatego przed wyniesieniem musiałyśmy w blokach sprawdzać to samo. Jeśli coś znalazła, zapisywała numery pielęgniarek, które przyniosły „kibel”. Bo gdy wybierano z dołu, a coś zatkało rurę, to ona była karana. Tak się kiedyś złożyło, że przy sprawdzaniu nic nie zauważyłyśmy, ale ta przy dole wyciągnęła kawałek gazy, no i zapisała nasze numery. Wieczorem, po apelu Lagerältester wyczytał nasze numery. Za takie przestępstwo szło się na lagier, do okropnych bloków i do pracy w polu. My miałyśmy ciężką pracę, ale pod dachem, nie dokuczało nam słońce ani deszcz. Rewir był oddzielony od reszty lagru drutami i nie wolno było przechodzić z rewiru na lagier ani zdrowym z lagru na rewir. Aby utrudnić nam „przeciekanie” na lagier, dawano nam nie pasiaki, lecz cywilne sukienki z białym pasem, namalowanym olejną farbą od karku do dołu sukienki.

Pasiaczki na lagrze nazywały nas z przekąsem „die Damen von Revir”. Więc żadna z nas nie chciała zamienić rewiru na lagier. I traf chciał, że wszystkie sześć wyczytanych numerów zaczynały się na 77 tysięcy, wszystkie sześć byłyśmy z Majdanka. Lagerältester, Schuster, zapytał nas, czy umówiliśmy się i dlaczego tak zrobiłyśmy. Nie umawiałyśmy się i stało się to bez naszej woli. I, rzecz niebywała, jako karę wyznaczył nam przez tydzień, po wieczornym apelu, podlewać grządki w świeżo założonym ogródku koło ambulatorium aryjskiego. Wszystkie koleżanki chciały nam pomagać.

W Oświęcimiu, na rewirze, śmiertelność była dużo większa niż na Majdanku. Nie wolno było długo chorować, toteż bardzo często chore, które w żadnym wypadku nie mogły iść na lagier, przekazywane były z jednego bloku na drugi. W ten sposób mogły długo wędrować z bloku na blok i jakoś przetrzymać. Było dużo starszych kobiet, które w ten sposób były przechowywane na rewirze. Były takie dwie panie, pani Panenková i pani Prausová, na wolności były przeciwniczkami politycznymi, a tutaj żyły w dużej zgodzie.

Do dużej śmiertelności przyczyniały się też „odwszawiania”. Bo wszy było bardzo dużo, a Niemcy bali się tyfusu, więc co jakiś czas urządzano nam „odwszawiania” i „odszczurzania”. Szczurów też było dużo, piszczały wieczorami i goniły się po bloku, a my bałyśmy się ich i uciekałyśmy na piętrowe łóżka. Szczury często zjadały chleb kobietom, które leżały na najniższych łózkach, a kawałek chleba zostawiły sobie na rano.

Podczas takich akcji wszystkie chore musiały wyjść z bloku, zostawiając w nim wszystko, co miały. Na gołych ciałach miały tylko koce. Ustawiały się w piątki i marszerowały do sauny, do kąpieli. Kąpano je partiami, a reszta, przed lub po kąpieli, czekała na dworze, dopóki wszystkie będą wykapanie. Kocę zabierano do parowania,

co miało zatruć resztę wszy. Po kąpieli kobiety dostawały inne koce, zawsze wilgotne i wracały już na inny, pusty blok. A stary blok zamykano i gazowano, aby wszy i szczury wyginęły. Nic więc dziwnego, że po takim spacerze, staniu na zimnie i kąpieli dużo chorych umierało. Zmarłe, jeśli było ich mało w ciągu dnia, zanosiliśmy do Waschraumu, jeśli dużo, składałyśmy je pod długą ścianą bloku. Stamtąd specjalne Leichenkommando zabierało je do Leichenhalle – kostnicy (zwykła szopa), a później, nocą, ładowano je na ciężarówkę i wieziono do krematorium. Tę czynność wykonywały też więźniarki z Leichenkommando. Ale pewnego razu, nie wiem dlaczego, kazano pielęgniarce wykonać tę czynność. Naturalnie, jako pierwszą, Magda wyznaczyła mnie. Cieszyliśmy się, że będziemy mogły odbyć spacer w nocy po lagrze. I naprawdę obudzono nas w nocy, przyszła po nas aufzjerka i prowadziła. Noc była ładna, księżycowa, ale konkurencję księżycowi robiły kominy krematorium, wydzielające mdły, gorący, czerwony dym. Gdy przyszliśmy pod kostnicę i trzeba było wejść do środka, ja z jedną koleżanką (Bielička, imienia nie pamiętam) wycofałyśmy się do tyłu. Zauważyła ten nasz manewr aufzjerka i kazała nam wejść na samochód i odbierać zwłoki podawane przez inne koleżanki. To była dla mnie najprzykrzejsza praca na rewirze. Brałyśmy biedne zmarłe i układałyśmy je na dnie ciężarówki, ostrożnie, jedna obok drugiej. Ale wkrótce zabrakło miejsca, musiałyśmy więc rzucać jedno na drugie. Zwłoki były różne, jedne lekkie, wychudzone, inne nabrzmięte, ciężkie, a wszystkie okropnie zimne i twarde. Toteż często wychylałyśmy się „za burtę” i oddawałyśmy nawet śniadanie.

Po tej pierwszej, nocnej wyprawie nie czułyśmy się nawet ludźmi, bo kobietami dawno przestałyśmy być. Czułam się tak załamana, tak zmaltretowana, że zdawało mi się, że nie będę mogła już nigdy wrócić do dzieci i do męża. Ręk nie mogłyśmy domyć, chętnie odrąbałabym je

sobie. Na następne nocne wyprawy dawano nam rękawiczki.

Jeszcze na Majdanku opiekowałyśmy się młodzieńką Polką, Muszką Szpiterówną, która była ciężko chora na gruźlicę. Matka jej została w Ravensbrück, ponieważ była zdrowa. Mimo naszej troskliwej opieki, dziewczę zmarło. Któraś z koleżanek zdobyła gdzieś małą zieloną gałązkę (w obozie nie było drzew, trawy, żadnego ptaka ani nawet much czy komarów) – może od kobiet, które wychodziły na „aussen” – tę gałązkę położyła jej na piersiach, gdy na „tragach” odnoszono ją do kostnicy. To było wszystko, co mogłyśmy jej dać.

Pewnego razu umarła u nas kobieta na jakąś nieznaną chorobę. Miano ją zanieść do prosektorium na sekcję, więc zanosiliśmy ją pod krematorium. We cztery niosłyśmy ją na „tragach”, towarzyszył nam posten. Po wyjściu z F.K.L.-u szłyśmy drogą wzdłuż bocznic kolejowej. Na drodze znajdowałyśmy pieniądze z napisem „Litzmannstadt” (Łódź). Zanosiliśmy ją pod krematorium, które było otoczone murem. W murze była furтка i tutaj oddaliśmy mężczyznom tragi ze zmarłą. Ci mężczyźni obsługiwali krematorium. Tą samą drogą, z pustymi „tragami”, wróciliśmy na rewir.

Bardzo często bloki rewirowe odwiedzane były przez lekarzy. Było ich trzech. König, Mengele i trzeci, którego nazwiska nie pamiętam. Towarzyszyła im zazwyczaj dr Ena, więźniarka, słowacka Żydówka. Aby nie być zaskoczonymi, wystawiałyśmy przy bramie wartę, która, gdy zobaczyła zbliżających się lekarzy, wołała „Besuch” lub „Arzt”. Wtedy zaczynał się niebывały ruch. Poprawiałyśmy szybko koce u chorych, zbierałyśmy najdrobniejsze pyłki z ceglanej podłogi, sprawdzałyśmy nocniki (bo przed każdym łóżkiem stał nocnik, ale musiał zawsze być pusty i czysty), poprawiałyśmy swoje białe fartuchy i stawiałyśmy na baczność, każda przy swojej „sztubie”. Za najmniejszy nieporządek Artzt „wybierał” na lagier.

Od czasu do czasu trzeba było odesłać parę zdrowych kobiet na lagier. Kobiety odchodzące z rewiru, ubrane tylko w koce, siedziały na piecu (niski, biegnący wzdłuż bloku) i czekały. A gdy przyszedł Arzt, wstawały, zostawiając koce na piecu. Arzt oglądał, czy nie mają świerzbu lub innych wyrzutów.

Miałyśmy dużo lekarek na rewirze, przeważnie Polek, była więc dr Perzanowska i dr Brudkowska, znane jeszcze z Majdanka, była bardzo miła dr Tetmajerówna, Białówna, Jasielska, Kościuszkowa, Łaniewska, dr Ovole – Francuzka, dr Lubow – Rosjanka i dużo innych, których nazwisk nie pamiętam. Naszym blokiem opiekowała się dr Perzanowska.

Kiedyś König polecił Perzanowskiej, aby na następny dzień wypisała 30 kobiet na lagier, bo blok jest wypełniony. Ale nasza dr Perzanowska niechętnie słuchała rozkazów. Wybrała więc trzy najzdrowsze kobiety i posadziła je na piecu. Gdy König wszedł do bloku, zatrzymał się koło drzwi i zawołał „Lupe, Lupe”. Perzanowska podeszła do niego, a on powiedział, że przecież życzył sobie 30, a nie 3. Ale Perzanowska powiedziała, że u niej są chore i że więcej nie może dać. I nie dała.

Jedna z wizyt Arzta, zaskoczyła Perzanowską, gdy ta, stojąc w ganku między łózkami, paliła papierosa. Gdy jej któraś kobieta powiedziała, że jest „Besuch”, Perzanowska rzuciła papierosa pod łóżko i wyszła do Arzta. Rozmawiali, idąc przez długi blok, a gdy byli już przy drugich drzwiach, Arzt powiedział: „A teraz może pani iść skończyć tego papierosa”. Jej odwaga, dzielna postawa i energia imponowały Niemcom.

Bardzo lubiłam młodą i łagodną dr Ovole, która często przychodziła do mnie na papierosa. Przy okazji politykowałyśmy. Nie wiem, jakimi drogami, ale wieści z zewnątrz docierały do nas. Często przychodziła jakaś kobieta i mówiła: „Dziewczynki, cieszcie się, Niemcy dostają w skórę. Najdalej za miesiąc, dwa będziemy uwolnione”. Gdy przy-

chodziła dr Ovole, bardzo wyczerpana, ja ją karmiłam tymi wiadomościami, którymi inne kobiety nakarmiły mnie. Wychodziła zawsze pokrzepiona na duchu. Gdy moje dobre wiadomości nie potwierdzały się, tłumaczyłam jej, że nie zawsze jest tak, jak chciałoby się, ale że teraz to już na pewno niedługo będziemy wolne. Naraz dr Ovole zginęła mi z oczu, przestała przychodzić. Okazało się, że wysłano ją z transportem do Ravensbrück. Żałowałam jej, bo była sympatyczna, miła, koleżeńska, ale pomyślałam, że dobrze, bo nie przyjdzie do mnie z wymówkami, że to, co jej obiecywałam, nie spełnia się. I traf chciał, że gdy pod koniec września i ja wylądowałam w Ravens, spotkałam dr Ovole, a ta zapytała: „No i kiedy będzie koniec wojny?”. W Ravens widziałyśmy się tylko dwa razy, ponieważ ja byłam na kwarantannie i znów bez możliwości wyjścia z bloku.

Sąsiednią sztabą zajmowała się Stasia Chutkiewicz, bardzo miła i oddana koleżanka, dużo przeżyłyśmy razem. Stasia miała, tak jak i my wszystkie, krótko ostrzyżone włosy, ale jak żadna, tak była podobna do młodego chłopca. Jak ja wyglądałam – nie wiem, bo nie było się w czym przejrzeć. Miałam czerwoną sukienkę w białe groszki, koleżanki śmiały się, że brak mi tylko skakanki. Pamiętam scenę, w której dwie chore, leżące na jednej pryczy „na waleta”, śmiały się jedna z drugiej ze wspaniałej fryzury, a obydwie miały obcięte włosy do gołej skóry.

Często też dr Ada Brudkowska, przechodząc, wstępowała do mnie na papierosa. Doktor Ada była przeciwieństwem dr Perzanowskiej, dużo młodsza, bardzo łagodna, chore prosiły o dr Adę, bo nie krzyczała na nie, a łagodnie tłumaczyła. Palenie było surowo zabronione, ale zawsze można było kupić papierosy za chleb. Skąd sprzedające brały te papierosy – nie wiem. W obozie handlowało się wszystkim, można było kupić, prócz papierosów, ładne swetry, koszule jedwabne, paski do pończoch, gorsety lub

inne części bielizny. Te rzeczy kupowało się u kobiet, które pracowały w „kanadzie” – Effektenkammer, gdzie segregowano rzeczy odebrane ludziom wziętym do obozu, a ostatnio transportem Żydów z całej Europy. Najczęściej płaciło się chlebem, cebulą, kawałkiem kiełbasy albo boczku z paczki. Cebula była w dużej cenie. W czasie mego pobytu w Oświęcimiu tylko raz dostałyśmy jako przydział do chleba po łyżeczce marmolady morelowej. Podobno transporty Żydów z Węgier przywiozły jej bardzo dużo. Tak dobrej marmolady nie jadłam nigdy w życiu.

Oświęcim znany był z koncertów. Orkiestra złożona z więźniarek (ubrane były w granatowe spódniczki i białe bluzki) przygrywała co dzień wychodzącym do pracy więźniarkom i witała je, gdy wracały zmęczone, często niosąc jakąś zmarłą w pracy koleżankę. Męski lagier też miał swoją orkiestrę, która grała więźniom i witała transporty wjeżdżające do obozu. Transporty wyładowywane na stacji – szły do obozu, do pracy, a transporty wjeżdżające do obozu – szły do krematorium. Prócz tego urządzano koncerty na rewirze, dla chorych. W ładne, ciepłe, letnie dni wynosiłyśmy chore, spragnione nie tyle muzyki, co świeżego powietrza i jakiejś zmiany monotonii chorowania na rewirze, na plac między blokami. Układałyśmy je na ziemi lub sadzałyśmy pod ścianami bloków, aby mogły oprzeć plecy. Lżej chore same wychodziły, bo była rzadka okazja wyjścia na dwór. Te siedziały lub leżały byle gdzie, były szczęśliwe, że mogły ruszyć się z pryczy, bo chorym nie wolno było wychodzić z bloków. Orkiestra grała, a chore jęczały. Na tych koncertach byłam tylko tak długo, jak długo wynosiłam chore. Miejsce, otoczenie i dymy z krematoriów były tak niestosownym tłem dla tego rodzaju imprez, że nie mogłam tego znieść.

Raz, gdy koncert odbywał się w bloku i akurat śpiewaczka śpiewała „Ich brauche keine Millionen, mir fehlt kein Pfennig zum Glück, ich brauche nur deine Liebe und Musik, Musik, Musik...” wszedł Arzt. Ona nie przestała

śpiewać, a on wolno, uważnie przeszedł przez blok, a scena była bardzo przykra, jęczące chore, wdzięcząca się śpiewaczka i dumny, okrutny nadczłowiek.

Gdy któreś nocy obudziła nas głośna muzyka, rzuciliśmy się do bramy, ale w nocy nie wolno było wychodzić z bloku (posten mógł z wieżyczki obserwacyjnej strzelić i zabić, bywały takie wypadki), a to, co zobaczyliśmy, było okropne. Cały cygański lagier był rześście oświetlony, orkiestra grała marsze, a wśród głośnych krzyków esesmani ładowali Cyganów (obóz rodzinny) na samochody, które odjeżdżały pełne niesamowitego krzyku, aby po krótkim czasie wrócić po nowe ofiary. Krematorium bowiem było blisko. A lekarzy i pielęgniarki z tego lagru posłano do „Strafkommando” (karna kompania), za złe (!) obchodzenie się z Cyganami.

Od początku maja 1944 r. obowiązywała na rewirze „Blocksperrre”. Nie wolno było nam wychodzić z bloków. Rano przychodziła po nas Orli, na blok personalny, i odprowadzała do bloków pracy. Dopiero po apelu same szliśmy do naszego bloku. „Blocksperrre” zarządzono z powodu przybywania dużej ilości transportów Żydów z całej Europy. Każdy taki transport witała orkiestra. Pociągi wjeżdżały do obozu, między lagier męski i kobiecy. Wagony były towarowe, pozamykane, specjalne męskie komando otwierało wagony i wyładowywano ludzi (wszystko to widziałyśmy przez szpary w drzwiach, bo były takie jak wrota w stodole). Ludzie ci byli różni, młodzi, eleganccy, w średnim wieku, starzy i dzieci. Widziałam eleganckie panie w letnich sukienkach i kapeluszach, z parasolkami, inne pchające wózek z dziećmi. Widziałyśmy też starców prowadzonych pod rękę przez młodych ludzi. Raz widziałam młodego mężczyznę niosącego na plecach drugiego mężczyznę. Wszystko odbywało się szybko, w takt marszów. Wiedziałyśmy, dokąd idą ci ludzie, lecz oni nie wiedzieli.

Mniej więcej w tym czasie urządzono na lagrze selekcję, wybierano kobiety, które z jakiegoś powodu nie podobały im się, i kierowano je do krematorium. Przybiegły wtedy do mnie, na rewir, dawne pielęgniarki z Majdanka, które ręką władcy – lekarza SS – zostały skierowane na lagier, była to Janka Grabska i Marynka Rozner i prosiły o przechowanie ich przez jedną noc, u mnie, na sztubie. Naturalnie chętnie to zrobiłam. Rano okazało się, że masę kobiet zabrali z lagru.

Przez cały czas pobytu w Oświęcimiu utrzymywałam łączność z Bogdanem. Był on aresztowany razem ze swoją siostrą, która umarła na F.K.L.-u. Na lagrze i na rewirze budowano drogi – ulice. Budowali je mężczyźni z lagru „D”. Jednym z budujących tę drogę był starszy pan, inżynier, pułkownik WP, zwany „Dziadzio” Rymkiewicz. Ten „Dziadzio” przechodził koło naszego bloku, a przechodząc, schylał się i coś dłubał koło buta. W ten sposób wyjmował zza cholewki list i kładł go pod kamień, którym przytrzymywane były drzwi. W bloku, z powodu braku okien, było niezbyt widno, ale za to dobrze widziałyśmy, co działo się na zewnątrz. Więc gdy „Dziadzio” odszedł, biegłam po list. Bardzo często w liście były papierosy. Bogdan pisał: „Jeśli już palisz, to pal, ale nie kupuj papierosów za chleb”. Wieczorem z tego samego miejsca „Dziadzio” brał odpowiedź. Rozmowa więźniów z więźniarkami była surowo karana. Odpowiedź pisałam w czasie ciszy południowej, a moja sąsiadka, pani Sałacińska, mówiła: „Pisz, pisz, bo inaczej zapomnisz, jak się trzyma ołówek w ręce”.

Gdy zbliżała się jesień, Bogdan zapytał mnie listownie, czy mam coś ciepłego do włożenia na pasiak. Jeśli nie, to on wystara się dla mnie o marynarkę, tylko muszę mu podać szerokość ramion. Najpierw więc trzeba było zdobyć sznurek, potem zmierzyć szerokość ramion, ale kto to umie zrobić? Ponieważ żadna z koleżanek nie знаła się na tym, więc zmierzono mi szerokość ramion na mniej więcej,

ale raczej na więcej, aby marynarka nie była za mała, dodały też trochę „na wszelki wypadek”. Ale ja jestem szeroka w ramionach. Wyobrażam sobie, jak musieli się śmiać mężczyźni na lagrze „D”, jeśli Bogdan napisał, że ja nie mam pleców, ale bary, i że nie chciałby się ze mną bić. A marynarkę przysłał wózkiem wożącym papier toaletowy do naszej kantyny. Marynarka była ładna, ciepła, naturalnie za szeroka w ramionach, ale w biodrach dobra. Niestety, wyjeżdżając z Oświęcimia, musiałam ją zostawić, odebrano mi ją.

Następnym moim blokiem była 12-tka, z blokową Inką Szablowską, bardzo miłą osobą. Przeniesiono mnie tam, bo Zosia Krasińska nie mogła dać sobie rady, a dr Perzanowska uważała, że ja jestem energiczniejsza. Zostałam więc pielęgniarką przy wariatkach.

W obozach było dużo kobiet chorych umysłowo. W Oświęcimiu te kobiety zajmowały pokój, do którego wchodziło się z ambulansu żydowskiego i którego okno wychodziło właśnie na ten ambulans. To wszystko było przedsiódkiem bloku 12, na którym mieściła się interna. Pokój był dość duży, zastawiony piętrowymi łózkami. Przy drzwiach stał stółek z miednicą, obok niego wiadro, a na futrynie drzwi wisiał długi, skórzany pas. Gdy zapytałam, do czego on służy, dostałam odpowiedź, że do bicia. Ale nigdy nie musiałam uciekać się do jego pomocy. Stosunki moje z chorymi układały się dobrze. Zawsze potrafiłam przekonać chore, że trzeba się umyć, zamieść podłogę i mieć porządek na swojej koi.

Jedna chora, Rosjanka, już starsza, leżała stale i śpiewała: „Wor, wor, wor, gdzie twój dwór”, a do taktu stukiała srebrną łyżeczką w łóżko (skąd ona wzięła tę łyżeczkę?). To drażniło inne chore, a szczególnie młodą Ukrainkę, Nadię, która wyjmowała deskę z łóżka i rzucała się z nią na śpiewającą. Ten monotony śpiew denerwował i mnie. Musiałam pilnie uważać i rozbrajać napastniczkę. A to nie

było łatwe, nie raz dostałam i ja tą deską. Zaczynałam rozmowę ze śpiewającą, aby jej przerwać koncert. Biedna kobieta domagała się zawsze kwaszonej kapusty i zsiadłego mleka, a nie można było uczynić zadość jej żądaniom.

Wśród chorych była Marusia, bardzo silna, młoda Rosjanka. Przyjechała z Majdanka, na rękach miała blizny od sznurów, którymi miała skrępowane w drodze ręce. Marusia była „szachtiorką” i stale pytała, gdzie jest Wiktor Wiktorowicz; kim on był dla niej, nie mówiła. Zapytana o to podnosiła dwa palce prawej ręki do oczu rozmówcy, obracała je szybko i mówiła: „A ja tobie zrobię tak”. I gwizdząc, odchodziła. Nikt nie wiedział, co to miało znaczyć. Prawie nigdy nie miała nic na sobie, wszystko darła i wchodziła w siennik. I tak tam spała. Ale gdy paliłam papierosa, widziałam, że Marusia pożera mnie oczami. Zapytana, czy pali, przytaknęła. Odtąd zawsze dostawała resztki moich papierosów. I nie wiem dlaczego, ale zmieniła się, przestała drzeć sukienki, chętnie robiła wszystko, co jej poleciłam.

Jedna z chorych nazywała się Maria Walewska. Siedziała na najwyższym piętrze z kocem na głowie, a gdy coś jej się nie podobało, sfruwała, jak ptak wielkoskrzydły, na dół, biła na prawo i lewo. Nie rozmawiała nigdy z nikim, tak że nic o niej nie było wiadomo.

Chore te nie dostawały żadnych leków, zajmowała się nimi, to jest tylko wizytowała, lekarka, austriacka Żydówka. Nie wiem dlaczego, ale nie miała ona żadnych przyjaciółek, ale ja bardzo dobrze rozumiałam się z nią, była bardzo miła. Kiedyś nawet zaprowadziła mnie na lagier B, do bloku naszej orkiestry, która w większości składała się z Żydówek.

Moje podopieczne miały dobry apetyt i dużo jadły. Toteż gdy na bloku chore nie mogły jeść i brukwianka zostawała, rozdawałam ją moim chorym. Bo wiadomo, że człowiek głodny jest zły, a wariat głodny nie panuje nad

sobą. Pewnego razu, podczas wizyty lekarzy SS, któryś zapytał mnie, ile chore dostają jeść. Powiedziałam, jak robię, ale to nie podobało się jemu. Zabronił dawać chorym więcej niż normalną porcję. Odpowiedziałam, że zastosuję się do tego życzenia, ale robiłam tak jak dawniej, rozdawałam moim chorym to, co zostało z bloku. Po paru dniach ten sam lekarz znów zadał mi to samo pytanie, odpowiedziałam, że stosuję się do jego polecenia. Wtedy spytał o mój numer. Przeliczyłam w myśli moje grzechy, nie wiedziałam, za który będę teraz odpowiadała, ale numer musiałam podać. I tak go widział, bo numer nosiłyśmy pod winklem z literą „P”, na lewej piersi. I co się okazało, za dobre obchodzenie się z chorymi i za posłuszeństwo przyznaje mi 3 „Prämienscheiny”. Odmówiłam przyjęcia nagrody, twierdząc, że nie na ochotnika przyszłam do lagru, aby pielęgnować chore, że wypełniam tylko swój obowiązek wobec współwięźniarek. Ale bojąc się go rozdrażnić – przyjąłam.

Kobiety na lagrze dostawały czasem za pracę takie Prämienscheiny, ale nie wszystkie i nie wszędzie. Za Prämienschein można było w kantynie obozowej kupić papier listowy, toaletowy, pastę do butów i do zębów, szminkę (!), kminek (!) i jeszcze jakieś niepotrzebne drobiazgi, ale nic do jedzenia.

Po jakimś czasie przeniesiono mnie z moimi chorymi do innego bloku, gdzie blokową była młoda Jugosłowianka, Ela. Minęły już te czasy, gdy blokowymi były zielone albo czarne łaty (winkle). Na bloku podłoga była z cegieł, ale sień miała klepisko, na którym po deszczu tworzyły się bajorka. Władze obozowe kazały więc zrobić w sieni podłogę z cementu. Pracę tę wykonywali mężczyźni. Wylali cement i położyli parę desek, aby po nich chodzić, ale do naszego pokoju zabrakło desek. Właśnie w tym czasie przyszła do mnie koleżanka i powiedziała, że jest do mnie paczka, po którą mam iść do magazynu. Paczki były

zawsze upragnione, toteż nie mogłam czekać, aż cement wyschnie lub aż położą mi deskę. Skoczyłam, ale tak nieszczęśliwie, że upadłam. Nie mogłam wstać, koleżanki podniosły mnie i zaprowadziły do stołka. Noga w kostce spuchła okropnie. Sprowadziły lekarkę, chirurga, dr Lubow, ta kazała moczyć nogę w zimnej wodzie i leżeć. Leżałam więc na tym samym bloku, z nogą silnie skrępowaną bandażem. Leżałam na środkowym piętrze i pewnego dnia, gdy sąsiadka zajmująca koję nade mną wchodziła do siebie, przytrzymując się krawędzi mojego łóżka, deska tak się odchyliła, że ja wraz z siennikiem i deskami, spadłam na łóżko parterowe. Całe szczęście, że sąsiadka z dołu wyszła, bo mogłam ją boleśnie przygnieść. Jedną z koleżanek, Irka Lipińska, przychodziła co dzień i robiła mi masaże. Zabiegi te były bardzo bolesne i wyciskały mi łzy z oczu.

Pewnego dnia wizytujący lekarz SS zwrócił uwagę na mój wykres temperatury, który tak ładnie, równo przebiegał na 36°C. Wobec braku temperatury nie miałam prawa leżeć na rewirze, dopiero 39°C upoważniało do tego. Ale dr Perzanowska pokazała mu moją nogę, a on kiwnął głową, że zezwala na leżenie. Leżałam 3 miesiące. Marusia ze swego pokoju zaglądała do mnie i jeśli musiałam wyjść, to nikt nie miał prawa mnie prowadzić, tylko ona.

Po trzech miesiącach blokowa powiedziała mi, że dłużej nie można chorować, że mogą mnie skreślić z Pflgerstandu. Chodzić nie mogłam, noga mnie bolała, więc blokowa zaproponowała mi „Nachtwache”. Na to zgodziłam się i zostałam nocną pielęgniarką. W nocy mniej było pracy, nie było wizyt lekarskich, ale często trzeba było podawać baseny. Niektóre mniej chore kobiety nie mogły spać w nocy, przychodziły do mnie, rozmawiałyśmy, wyręczały mnie w podawaniu basenów, obserwowałyśmy przeloty samolotów i czas szybciej schodził. Ale na apele musiałam chodzić. Moja sąsiadka z łóżka na trzecim

piętrze, pani Sałacińska, pożyczała mi swoje sznurowane buciki z cholewkami i w nich chodziłam na plac apelowy. Wychodziłam z bloku dużo wcześniej, bo szłam, odpoczywając i opierając się o bloki.

Gdy już lepiej chodziłam, a noce dłużyły się, trzeba było je jakoś urozmaicać. Chodziłam więc do sąsiednich bloków, do koleżanek. Raz wpadłyśmy na pomysł, aby dostać się do bloku personalnego. Przemknęłyśmy się między blokami, ostrożnie, aby nikt nas nie zauważył, bo nocą nie wolno było chodzić. A tam dopiero zaczęłyśmy rozrabiać. Pozamieniałyśmy koleżankom sukienki, buty, bieliznę i tą samą drogą wróciłyśmy do naszych bloków. A rano był rwetes, szukanie, nie każda znalazła swoje rzeczy. Hanka Mierzejewska wyszła na apel bez sukienki, tylko w fartuchu, ale Schuster tego nie zauważył, a koleżanki miały zabawę. Po jakimś czasie, gdy już jako tako chodziłam, zostałam znów pielęgniarką dzienną.

Chore przychodzące na rewir musiały rozebrać się i umyć przed położeniem się nago do i tak już brudnego łóżka, gdzie koce były zmieniane tylko przy odwszawianiu. Pewnego razu przyprowadzono na moją sztabę chorą Niemkę. Nie chciała się myć, twierdząc, że przecież nie idzie na randkę i że tutaj nie jest „Zirkus”. Trzeba było mieć dużo cierpliwości i poczucia humoru, aby umieć wytłumaczyć i skłonić chore do posłuszeństwa.

Innym razem dostałam na sztabę Żydówkę, która „poszła na druty”. Dłonie miała poparzone, trzeba było wszystko przy niej zrobić. Lekarka kazała jej pić mleko. Dla niektórych chorych było mleko, jak również, rzadko, niektóre chore dostawały bułki. Te artykuły pobierało się z dietkuchni. A blokową tam była pani Demouth, którą po przejściu tyfusu Orli tam umieściła. Poszłam więc z kubeczkiem, ale Demouth zapowiedziała mi, abym nie przychodziła z kubkiem tylko z garnkiem. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać, bo garnka nie miałam. Moja druga

sąsiadka, Marysia Jaszczukowa, zdobyła skądś dzbanek. No i chodziłam z tym dzbankiem, a mleko dostawały wszystkie chore na mojej sztubie. Część jednego dnia, następnego dnia inne i tak do końca.

Łóżko znajdujące się naprzeciw mojego zajmowała pani Wanda Miszewska z Warszawy, pełna humoru. Wsporniale opowiadała żydowskie kawały, a jeszcze lepiej je nam urządzała. Kawały broniły nas przed załamaniem się i pójściem do wariatek.

Jeden z lekarzy SS zajmował się Zwillingami (bliźniętami). Wyłowiono więc z całego lagru kobiety, które urodziły się jako bliźniaczki, urządzono dla nich specjalny blok, nie chodziły do pracy, podobno były lepiej żywione. Jaki był ich dalszy los – nie wiem, bo wyjechałam z transportem przed likwidacją Oświęcimia.

Wczesną jesienią zaczęły do nas przychodzić transporty z Warszawy, z powstania. Lokowano te nieszczęsne kobiety na naszym lagrze na rewirze i na jednym męskim lagrze. Biegałyśmy wtedy na lagier mimo zakazu i strachu przed lagą Steni (Lagerkapo z lagru kobiecego A, Stenia Starostka, biła chętnie każdą i za najmniejsze przewinienie, a była ładną brunetką, nosiła żółty sweter i brązową, plisowaną spódniczkę). Każda z nas chciała dowiedzieć się czegoś o swoich bliskich. Jedne spotykały kogoś z rodziny, inne znajome. Ja, na szczęście, nikogo. Nosiłyśmy im kawę i chleb zaoszczędzony, tak jak dawniej nosiły nam oświęcimianki.

Śmiałyśmy się nie raz, gdy widziałyśmy, jak blokowe starały się ustawić „warszawianki” (kobiety z powstania – to warszawianki, a warszawianki, które już dawniej były w Oświęcimiu i przeważnie przeszły przez Pawiak – to były „pawiaczki”) do apelu. Ale gdy ustawiły parę piątek, to te pierwsze rozchodziły się. Kobiety siadały na ziemi albo szły do bloku, nie chciało im się stać i czekać. A blokowe ze sztubowymi biegały, krzyczały, poszturchiwały, zawracały uciekinierki i znów ustawiały. „Warszawianki” wy-

chodziły chyba na godzinę przed apelem, ale w końcu i one nauczyły się ustawiać do apelu.

Na rewirze w Oświęcimiu było sporo chorych na „pęcherzyce”, podobno była to nieznana na wolności choroba. Na całym ciele występowały pęcherze wodniste, przy dużej temperaturze. Była to choroba bardzo zaraźliwa, trzeba było się strzec zetknięcia z nią, używania tego samego kubka lub łyżki. Te pęcherze pękały, sączyła się z nich jakaś ciecz, a miejsce po pęcherzu było aż fioletowe. Chore na pęcherzyce po paru tygodniach męczarni umierały.

Prócz transportów do obozu widziałyśmy też transporty odchodzące z naszej boczniczy. Były to transporty młodych, zdrowych Żydów. Niestety, te transporty po pewnym czasie wracały, ale ludzie z wagonów nie wychodzili, wyciągano ich zmarłych lub jeszcze żyjących i palono w dołach biegnących wzdłuż boczniczy. Mówiono u nas, że pracowali przy osuszaniu jakichś bagien, źle żywieni, a gdy już nie mieli sił do pracy, przywożono ich z powrotem do Oświęcimia.

Ostatnim moim blokiem rewirowym był blok 29 – gruźliczki. Tutaj spotkałam dużo znajomych z Majdanka, ale też choroba poczyniła duże postępy. Sporo z nich leżało na dużej sali w ostatnim stadium choroby. 29-ty blok był jedynym blokiem mającym wodę na miejscu. Za blokiem rosło parę mizernych krzaków (były to jedyne krzaki na lagrze). Nazywało się to „ogrodem”. Do tego ogrodu mogły wychodzić chore chodzące, ale to im i tak nie dawało zdrowia. W ogrodzie, pod blokiem, stały tragi do wynoszenia zmarłych, na nich w godzinie ciszy obiadowej kładłyśmy się, aby się opalać na wrześnieowym słońcu. Praca w tym bloku była ciężka i przykra, bo patrzyło się, jak kobiety gasną bez żadnych leków, a uśmiech i dowcip tutaj zawodziły.

W tym czasie odchodziły z Oświęcimia liczne transporty. Dużo koleżanek wyjechało. Toteż nie bardzo zmartwiłam

się, gdy i mnie wyznaczono na transport. M-me Demouth przychodziła do mnie, namawiała, mówiła, że poprosi Orli, aby wykreśliła mój numer z listy transportowej. Ale stosunki na 29 bloku bardzo mnie zmęczyły. Koleżanki były samolubne, egoistki, oszczędzały się, a całą pracę zwały na nas, z Majdanka. Toteż podziękowałam pani Demouth za dobre chęci i prosiłam, aby nie interweniowała w mojej sprawie.

Zgromadzono nas w osobnym bloku, wykapano, odebrano prawie wszystko, co posiadałyśmy, dano pasiaki, kawałek chleba i wsadzono do bydłych wagonów, ale już bez słomy. 28 września wyjechałyśmy z Oświęcimia.

Ravensbrück

Droga była daleka, przykra, duszno, ciasno i głodno. Miałyśmy po kawałku chleba, ale bałyśmy się go zjeść, bo nie wiedziałyśmy, jak długo będziemy jechały. Drzwi były zamknięte. Nie widziałyśmy okolic, przez które jechałyśmy, nie orientowałyśmy się, gdzie jesteśmy. Jechałyśmy parę dni. W końcu dojechałyśmy do Fürstenbergu, skąd piątkami pomaszerowałyśmy do obozu Ravensbrück. Ale nie przyjęto nas zaraz. Czekałyśmy trzy dni na dworze między rewirem a nasypem, na którym znajdował się wysoki mur okalający cały obóz. Siąpił jesienny deszcz, było zimno, nie miałyśmy co jeść. Siedziałyśmy na mokrym piachu, przytulając się do siebie, aby zatrzymać trochę ciepła. Nie dopuszczono do nas koleżanek z obozu, które szukały krewnych lub znajomych.

Po trzech dniach tej męki zaprowadzono nas do sauny, odebrano resztki z paczek. Po kąpieli dostałyśmy imitację bielizny i cywilne sukienki znaczone na plecach krzyżem namalowanym olejną farbą. Płaszczyny nie dostałyśmy, a na Majdanku i w Oświęcimiu prócz pasiaków dostawałyśmy na zimę pasiaste żakiety, tak zwane „jaki”.

Umieszczono nas na kwarantannie. Dostał nam się normalny blok, bo inne transporty mieszkały w namiotach. Blok miał okna, toteż teraz dopiero, mimo odpędzania przez policjantki (nie było takich ani na Majdanku,

ani w Oświęcimiu), więźniarki, blok nasz był oblepiony kobietami z lagru. Często spotykały się krewne, znajome z wolności lub z innych lagrów. Wtedy „organizowała się” pomoc dla nowo przybyłych. Tak się złożyło, że i ja spotkałam znajomą, o której wiedziałam, że jest w Ravens. Była to Myszka Lipska, żona Wacka. Ucieszyliśmy się ze spotkania. Myszka bardzo się mną zajęła. Byłam pierwsza, która miała prawdziwą bieliznę. Myszka siedziała już cztery lata w Ravens i dostawała paczki od rodziny. Przyносиła mi zimne, gotowane kartofle w łupinach i od czasu do czasu dzbanek mlecznej zupy. Myszka pracowała w kuchni, mogła więc coś zorganizować. Darami tymi dzieliłam się z koleżankami. Gdy kiedyś powiedziałam Myszcze, że dzielę zupę między koleżanki, powiedziała mi, że „przecież nigdy nie myślałam, że możesz być świnią”.

Wszystkie byliśmy głodne, bo chociaż w innych obozach była na obiad zawsze i niezmiennie zupa z brukwi (Kohlrübe), ale było tego $\frac{3}{4}$ litra, no i czasem udało się zdobyć dolewkę. Tutaj dawali nam w kubeczkach brukwiankę, czasem trochę buraków z wodą albo jakiś rodzaj zboża rozgotowanego. Wszystkiego było mało, ale kto nie pracuje, nie ma prawa jeść.

Obóz ten nie podobał mi się, bloki zatłoczone bardziej niż w poprzednich obozach i ustawione ciasno koło siebie, ulice wysypane żużlem, policjantki. Obóz otoczony był wysokim murem, na którym jeszcze były druty. Duszno. Obydwa moje poprzednie obozy były duże, rozległe, między blokami duże przestrzenie, a za drutami widać było jeśli nie zabudowania, jak w Majdanku, to chociaż zieloną przestrzeń, a w pogodne dni Beskidy, jak w Oświęcimiu.

W Ravens łóżka znów były inne niż w poprzednich obozach, też piętrowe, ale szersze, a spało w nich po 5-6 kobiet. Waschraumy i ubikacje były we wszystkich blokach. Ubikacje brudne, cuchnące, w Oświęcimiu było czystiej, suche klozety i pomieszczenia, w których stały,

wysypane były wapnem i chlorkiem. W Ravens w Waschraumach pod kranami stało coś w rodzaju prostokątnych basenów. Tam wchodziłyśmy i myłyśmy się w zimnej wodzie. Siedziałyśmy więc w łózkach i czekałyśmy na koniec kwarantanny.

Jedynym naszym zajęciem było robienie dwa razy w tygodniu opatrunków. Rozkładałyśmy wtedy na stole nasze mizerne środki opatrunkowe i trochę leków. Przewijał się przed nami korowód chorych, wycieńczonych, okaleczonych, owrzodzonych kobiet. Nie każdej mogłyśmy pomóc, ale kobiety nie chciały iść na rewir. Rewir w Ravens miał gorszą sławę niż w Oświęcimiu, kobiety bały się robionych tam na więźniarkach doświadczeń.

Na apel wychodziłyśmy raniutko, bez śniadania (kawa była przyniesiona i stygła), w samych sukienkach (październik). Stałyśmy tak godzinami, bo gdzieś apel się nie zgadzał. Rozgrzewałyśmy się, stojąc po dwie tyłem do siebie albo poklepując się po plecach. Ale trzeba było uważać, aby nie zobaczyła aufzjerka (tutaj zwana stróżką), bo biła i wymyślała od głupich krów, świnio-psów lub ciężarnych pluskiew. Patrzyłam więc na szafirowe niebo, przyglądałam się Wielkiej Niedźwiedzicy i myślałam, że tam, daleko, w Polsce, na wolności, śpią ludzie w ciepłych łózkach, i że moi synkowie też jeszcze śpią. Ale czy są zdrowi? Bo że nie byli razem, o tym wiedziałam z listów od rodziny, które dostawałyśmy raz w miesiącu i raz w miesiącu można było na nie odpowiadać. Korespondencję prowadziło się w języku niemieckim.

W Ravensbrück prócz Myszki Lipskiej spotkałam moją szkolną koleżankę z Lublina, Joasię Jankowską, która już wtedy nazywała się Szydłowska. Joasia miała zawsze piękne, gęste, długie włosy. Udało jej się zachować włosy, ale to już nie były te dawne, długie warkocze. Joasia nie była już tą zdrową, silną dziewczyną, jaką była w szkole, była „króliczką” okaleczoną przez lekarzy SS.

28-go października, siedziałyśmy, jak zawsze, na łóżkach, ja nie miałam chęci do żartów, byłam bez humoru. Gdy pytana przez koleżanki, co mi jest, odpowiedziałam, że właśnie dzisiaj są imieniny mojego starszego synka, Tadzika, więc jestem smutna, bo nawet ucałować go nie mogę. Wtedy Ziutka Wdowska, nasza obozowa farmaceutka, którą znałam jeszcze z Majdanka, poszperała w swoim łóżku, wyjęła kromkę chleba posmarowaną marmoladą (siostra jej pracowała w kuchni) i dała mi na imieniny mego synka. Był to duży dar, bo cierpiałśmy głód. Niektóre kobiety zbierały łupiny z gotowanych kartofli i jadły je.

Gdy zbliżał się koniec naszej kwarantanny, kazano nam rozebrać się całkowicie, wyjść przed blok i ustawić się w piątki. Wkrótce przyszli jacyś cywilni mężczyźni (byli to podobno majstrowie z fabryk) i wybierali młode, rosłe, silne kobiety do pracy w fabrykach amunicji. Przypominało to losy niewolników, oglądanie z przodu, z boku, podnoszenie nóg, badanie płaskostopia.

A my, pielęgniarki, musiałyśmy iść na rewir, na oględziny lekarskie. W długim, zimnym korytarzu stałyśmy nagie w ogonku do lekarki. Gdy sprawdziła, że jesteśmy zdrowe, musiałyśmy iść, już ubrane, do lekarza SS, który zostawiał na rewirze, na miejscu lub kierował do innych obozów. Myszka namawiała mnie, abym udawała, że nie rozumiem, o co mnie pyta, że nie rozumiem niemieckiego, to wtedy wyrzuci mnie na lagier, a ona postara mi się o jakąś pracę. Ale mnie dusił brak powietrza, ciasnota, gdzie widziało się tylko niebo nad głową, a wokół mur, a za murem słychać było dzwonienie przejeżdżających pociągów. Nie, nie chciałam, nie mogłam tutaj zostać, wołałam próbować życia w innym obozie. Toteż odpowiadałam na zadawane mi pytania. A wynik – transport.

Było nas 10 pielęgniarek, które miałyśmy wyjechać. Znów kąpiel w saunie, nowe ubrania. Dostałam sukienkę

z niebieskiego sukna, prawdopodobnie uszytą z francuskiego munduru wojskowego (szwalnia była w obozie, a szyły więźniarki), bardzo ciepła. Dostałyśmy też płaszcze z krzyżami na plecach. Potem zamknięto nas w jakimś pokoiku, dość ciasnym, przy saunie. Pod ścianą zobaczyłyśmy tobołki. Naturalnie musiałyśmy zobaczyć, co zawierają. No i radość, bo w tobołkach była różna garderoba. Nie myślałyśmy o tym, że to może być czyjeś, miałyśmy okazję zdobycia czegoś do ubrania, bo był już listopad. Ja zdobyłam sweter i pasek do pończoch. Wszystkie przyodziałyśmy się dodatkowo, bo zbliżała się zima. Nie obchodziło nas to, czy te rzeczy były czyste, skąd pochodziły, kto je nosił i dlaczego tutaj leżały.

W tym pokoiku spędziłyśmy noc, a rano znów marsz do Fürstenbergu i odjazd.

Neu Rohlau

Jechaliśmy z dwoma stróżkami pociągiem osobowym, w oddzielnym przedziale. Ludzie w pociągu przyglądali się nam, jakbyśmy były z Marsa. Po długiej podróży dojechałyśmy do Berlina. Tutaj przesiadka. Nasze stróżki dostały pomoc w postaci dwóch esesmanów. Żadna z nas nie miała zamiaru uciekać, bo cóż robiłaby w obcym, wrogim mieście, bez dowodu osobistego, bez pieniędzy, bez znajomości, a w dodatku w płaszczu naznaczonym krzyżem. A miasto było solidnie zniszczone, ludzie przemykali chyłkiem, a my szłyśmy właśnie trzymając się prosto. Był już wieczór, gdy przyszłyśmy na dworzec główny. Był zatłoczony, brudny, a my zmęczone i głodne. Nasze stróżki znalazły jakiś kącik, z którego usunęły ludzi, gdzie mogłyśmy usiąść na posadzce pełnej niedopałków z papierosów. Ach, jak chciało mi się zapalić, dawno już nie paliłam papierosa, w Ravens nie było za co i gdzie kupić papierosów. O którejś godzinie w nocy zbudzono nas i pojechałyśmy dalej. W Berlinie pierwszy raz jechałam ruchomymi schodami. W poczekalniach, na peronach, w pociągu tłok, ale my miałyśmy wolny przedział. Było nas 10 i 2 stróżki, więc było luźno, siedziałyśmy, prawie luksus w porównaniu z poprzednimi przejazdami. Po drodze zostawiłyśmy 8 koleżanek, oddanych innym stróżkom. Pojechały do innych obozów. Jeszcze raz prze-

siadłyśmy się na jakiejś stacji, aż dojechałyśmy do Neu Rohlau w Sudetach, koło Karlsbadu. Obozem macierzystym był Flossenbürg. Na tym terenie było dużo fabryk, a przy fabrykach podobozy, z których ludzie dochodzili do pracy. W Neu Rohlau była fabryka słynnej karlsbadzkiej porcelany, a przy tej głównej produkcji była też uboczna, paradoksalnie ważniejsza, fabryka części do messerschmidów. Więźniarki pracowały i tu, i tam.

Obóz nasz był pięknie położony w Sudetach, o jakieś 2-3 kwadrans drogi od fabryki. Bloki były zupełnie inne niż w znanych mi obozach. Na blokach były ubikacje, a Waschraum był jeden dla całego obozu liczącego kilka bloków. Blok miał dwie duże sale: jadalnię i sypialnię. Sypialnia nie była tak przeładowana łózkami, jak to widziałam w poprzednich obozach. Okna były dzień i noc otwarte, bez względu na porę roku i pogodę. Podłoga była myta co dzień, ale rzadko kiedy wysychała (listopad), gdyż w sypialni nie było żadnego piecyka. W sypialni pod oknami leżał śnieg. Do środka nie wolno było wchodzić w butach, lecz w pończochach, a buty niosło się w ręce. Koce były stale wilgotne. Miałyśmy na sienniku po 2 koce, jeden składałyśmy na pół i tam się wsuwałyśmy, a drugim przykrywałyśmy się. Ale mijały długie godziny, a my, zziębnięte, nie mogłyśmy usnąć. A rano apel i praca. Nie wolno było spać w ubraniu ani po dwie. W nocy sprawdzano i za przekroczenie zakazu bardzo bito.

W jadalni były stoły i stołki wokół nich. Były też szafki, w których każda z nas miała swój talerz płytki i głęboki i swój kubeczek. W tym jednym obozie wyżywienie było dobre na stosunki obozowe: różne zupy, do nich gorące kartofle na płytkim talerzu! To był luksus!

Pamiętam, gdy w niedzielę po rannej kawie zbierano kubeczki, bałam się oddać swój (miałam już dobre doświadczenie, żeby swoich rzeczy nie wypuszczać z rąk), ale nasze koleżanki powiedziały, że śmiało mogę oddać swój kubek, tutaj porcelany nie brak. I jakież było moje zdzi-

wienie, gdy na stole obok talerza z kartoflami zobaczyłam swój kubek pełen budyniu. Następnej niedzieli był kompot z dyni, ale słodki i bardzo smaczny. Życie po tamtych obozach było bardzo dobre, ale praca bardzo ciężka. W niedzielę przy piecu w jadalni zbierały się kobiety. Jedna mówiła o literaturze polskiej, inna o historii, jeszcze inna opowiadała zapamiętane sztuki teatralne. Były dyskusje.

Obóz ten był mały, więc dla chorych przeznaczony był jeden nieduży pokój. Była jedna lekarka i jedna pielęgniarka, a w owym czasie żadnej chorej. Co więc miały tam robić jeszcze dwie pielęgniarki? Przydzielono nas do pracy w fabryce, gdzie było gorąco i kobiety tam pracujące nosiły białe bluzeczki i cienkie spodnie. My, Zugangi, zostałyśmy w naszych ciepłych sukienkach i drewniakach. Było nam bardzo gorąco i trudno w drewniakach chodzić po posadzce. Nie dano nam innego ubioru, bo nie miałyśmy tutaj długo popasać. Ile godzin dziennie trwała praca, nie wiem, ale wiem, że gdy wychodziłyśmy z obozu, było jeszcze ciemno, a gdy wracałyśmy, było już ciemno. Była zima.

Pewnego dnia w fabryce kazano nam nosić wazy z drugiego piętra na pierwsze. Praca lekka, układałyśmy stos z pięciu waz i nosiłyśmy. Ale wkrótce chodziłyśmy coraz wolniej, mięśnie zaczynały boleć. Chodzić tak cały dzień z piętra na piętro i z powrotem jest bardzo męczące, przystawaliśmy na schodach, w korytarzach, gdzie się dało, ale zawsze pod strachem, aby ktoś nie zobaczył, bo nie wolno było odpoczywać. A wieczorem, po powrocie do domu, nie chciało mi się myć ani jeść, tylko położyć się między wilgotne koce i czekać, aż własnym ciepłem trochę je osuszę i wreszcie usnę.

Innego dnia pracowałam przy odbieraniu porcelany, po kąpielii w glazurze, przed ostatecznym wypaleniem. Musiałam przynieść deskę spod ściany, postawić ją na

specjalnym koziółku i ustawiać na niej talerze, odnieść deskę na regał i znów to samo. Widziałam, jak kobiety robią to szybko, deskę z talerzami opierają na ramieniu i niemal tanecznym krokiem odnoszą ją na regał. Sądziłam więc, że jeśli one tak robią, to i ja też tak potrafię. Ale myliłam się, deska z talerzami była ciężka, nie było mowy, abym ją sobie oparła na ramieniu. I w drewniakach trudno mi było zwinnie poruszać się po posadzce. Chodziłam jak mucha w mazi, nie nadażałam. Inne kobiety musiały mi pomagać, aby nie opóźnić odnoszenia desek i aby stróżka nie zobaczyła.

Wobec tego następnego dnia majster dał mnie do „kapsli” (duże formy, w których wypalano porcelanę), do układania porcelany. Gdy ułożyłam warstwę, przykrywałam innym kapslem i znów układałam porcelanę. Porcelana była tylko wysuszona, schła w dużych halach na regałach, była bardzo krucha. Trzeba więc było bardzo ostrożnie brać np. filiżankę lub spodeczek, bo łatwo rozlatywały się w rękach. A za większe ilości odpadów karano. Gdy powstał spory stos, odnosiłam do pieca, gdzie kobiety, bardzo skąpo ubrane, ustawiały te kapsle w wysokie stopy i bardzo ciasno koło siebie. Gdy piec napęczniono, zamykano go, a w piwnicy pod tym piecem rozpalano ogień. W tym gorącu wypalała się porcelana.

Pracowałam też przy sprawdzaniu wyschniętej porcelany, przed kąpielą w glazurze, czy nie jest pęknięta. W tym celu każdy talerz, wagę lub filiżankę brało się w lewą rękę, a prawą, pędzelkiem umoczoną w jakimś czerwonym płynie, malowało się brzegi i spód naczynia. Jeśli naczynie było pęknięte, robił się zaciek. Takie sztuki odkładało się na bok, dobre szły do odkurzenia, kąpieli i do wypalania. Przy tej pracy siedziało się, to było przyjemne zajęcie. Odkurzenie też było przyjemną, siedzącą pracą. Trzeba było szybko, ostrożnie podstawić talerz wierzchem i spodem pod rurę wciągającą kurz, następnie

ustawić go na szerokim, ruchomym pasie. W pewnym miejscu przy tym pasie siedziała przy ramie z glazurą kobieta, brała talerz, zręcznym ruchem kąpała go i ustawiała znów na pasie, a brała drugi itd. A na końcu tego pasa znów jedna kobieta odbierała te talerze, obcierała dno na wilgotnej, obracającej się gąbce i ustawiała na desce, a deski odnosiło się na regały. Pęknięta, uszkodzona porcelana szła na przemiał. Pod koniec dziennej pracy nosiliśmy całe stosy tej porcelany do specjalnej składnicy. Dopiero tam mogliśmy wyładować się i całe stosy porcelany rzucać na podłogę.

Raz tylko pracowałam przy rozładowywaniu pieca po wypalaniu. Robiło się to w nocy. Piec był bardzo gorący, toteż kobiety, które jakimś żelaznymi drągami odrywały sklezione w gorącu kapsle, były tylko w majteczkach i biustonoszach (skąd one to miały?). Inne, dalej stojące kobiety, były też lekko ubrane, tylko my dwie (druga to Wera Cerber) ciepło. Ale na to nikt nie zwracał uwagi. Na ręce dostałyśmy długie pasy jakiegoś materiału z dziurami na końcach. W jedną dziurę kładło się duży palec, owijało dłoń tak, aby znów duży palec trafił w drugą dziurę. Tak uzbrojone odbierałyśmy gorące, chropowate kapsle z porcelaną i podawałyśmy dalej stojącym. Praca ciężka, ręce bolały od ciągłego ruchu. No i materiał darł się, a ręce raniły od chropowatych i parzyły od gorących kapsli. To była bardzo ciężka i niesamowicie długa noc.

Widziałam, jak w dużych zbiornikach mieszano masę, z której później kobiety zgrabnie robiły na obracających się formach naczynia. Widziałam też w jednej dużej sali kobiety siedzące przy stołach i malujące wzory na porcelanie. Malowały też dębowe liście na talerzach przeznaczonych dla matek, Niemek, które straciły synów na wojnie.

W drodze z obozu do fabryki i z fabryki do obozu pilnowały nas aufzjerki. Pilnowały też podczas pracy. Sie-

działa taka stróżka, drzemała i nudziła się. Gdy któraś z kobiet musiała wyjść, musiała prosić o pozwolenie. Ale były także aufzjerki, które wypuszczały do ustępów tylko w pewnych godzinach, indywidualnych wyjść do ustępu nie tolerowały.

Przed wyjściem z fabryki rewidowano nas, naturalnie niemożliwością było dokładnie zrewidować wszystkie kobiety. Kiedyś, gdy przechodziłyśmy przez halę, w której ustawiona była skrzynia z porcelaną, wzięłam do ręki małą śliczną filiżaneczkę do czarnej kawy. Gdy ją obejrzałam, skrzynie już minęłyśmy. I co teraz zrobić? Odnieść nie mogłam, bałam się, bo wiedziałam i widziałam jak „oni” biją. Ale nie mogłam nic innego zrobić, jak schować w rękawie. No i przeniosłam ją. Ale niestety, gdy jedna z koleżanek oglądała ją, filiżanka wypadła jej z ręki i stłukła się.

W tym obozie przeżyłam też nalot. Natychmiast po alarmie spędzono nas do piwnic, gdzie palono pod piecami. Musiałyśmy siedzieć cicho, przytulone do siebie, bo jednak bałyśmy się. Ziemia drżała, słychać było wybuchy bomb, ale szczęśliwie żadna nie trafiła w fabrykę. Wołałybyśmy być na wolnym powietrzu i obserwować lecące samoloty, od których przecież spodziewałyśmy się wolności.

W obozie tym spotkałam Irkę Raszulównę, córkę gościa, który przywoził do mnie z Chełma materiały do przekazania dalej. Po trzech tygodniach pobytu w tym obozie przyjechały po nas znów 2 aufzjerki, aby nas zabrać do następnego obozu.

Zwodau

Tym razem podróż nie trwała długo, bo jechałyśmy do drugiego małego przyfabrycznego podobozu w pobliżu Karlsbadu. Ten obóz podlegał także K.L. Flossenbürg. Do tego obozu przyjechałyśmy w początkach grudnia 1944 r. Obóz był położony w pobliżu miasteczka Falkenau, składał się z 3 bloków mieszkalnych, bloku rewirowego i kuchni, gdzie gotowano dla nas i dla SS oraz z bloków zajętych przez SS. Kobiet było dużo, bloki były przepełnione, znów inaczej rozplanowane. W krótkiej ścianie bloku były drzwi prowadzące do sieni. W sieni, po prawej stronie, były ubikacje, a dalej pokój blokowej. Po lewej stronie była jadalnia, w której rozdawano zupę i dzielono chleb. Wprost były drzwi do dużej sali sypialnianej, z której przechodziło się do drugiej sali sypialnej, a z niej znów do drugiej sieni. Z tej sieni po prawej stronie wchodziło się do Waschraumu i dalej do ubikacji, a po lewej stronie do drugiej jadalni. Drzwi wprost wychodziły znów na tyły obozu i na druty otaczające obóz. W jadalniach i sypialniach były żelazne piecyki, w których trochę palono.

Na rewirze było dużo chorych, ale rewir był opanowany przez dwie pielęgniarki, które sprzeciwiły się przyjęciu nas na rewir. Gdy pewnego razu przyjechała jedna lekarka z Oświęcimia, te dały jej pokój z zakaźnymi i nie pozwoliły wtrącać się do rewiru. Miały jakieś „chody”. Chore opo-

wiadały, że je tam okradano, zamieniano im buty i ubrania. Dlatego skierowano nas do bloku 2, z tym że ja miałam pracować w bloku 2, a Wera Cerber, Czeszka, w bloku 1. Dostałyśmy łóżka obok siebie i zaczęło się nowe życie i nowa praca; byłyśmy pielęgniarzkami w blokach. Rano, na Aufstehen, wszystkie kobiety biegly najpierw myć się, a później porządkowały łóżka. Ale umyć się rano to była wielka sztuka, bo kobiet było dużo, a wszystkie co rano myły się dokładnie, mimo zimnej wody i mimo że okna były bardzo nieszczelne i w Waschraumie było zimno. Rozbierały się do naga i całe myły się, stojąc na mokrym i zimnym betonie. Waschraum szybko napełniał się parą. A kobiety nie zaziębiały się, były zahartowane. Prędko ubierały się, wyrównywały sienniki i koce, piły coś w rodzaju kawy i biegly na apel. Wszystkie ustawiały się komandami i po apelu szły do fabryki. My dwie stałyśmy na apelu osobno, w błocie po kostki. Myłyśmy się po apelu, ponieważ zostawałyśmy w bloku. Zawsze zdarzało się, że parę kobiet zostawało, one myły sypialnie i jadalnie. Kiedyś, w czasie gdy kobiety były w fabryce, przyszedł komendant obozu. Wszedł do sypialni, któreś łóżko nie podobało mu się, a że właśnie w tym ganku stała Niemka, która tego dnia nie poszła do pracy, zaczął ją bić po grzebaczem. Ona uciekała, wrzeszcząc, a on ją gonił. Schowałam się, aby mnie nie zauważył, bo też dostalabym.

Aby nam bez pracy nie nudziło się, posyłano nas do Falkenau, na pocztę po paczki, które jeszcze przychodziły. Dostawały je przeważnie Czeszki i Jugosłowianki. Były to przyjemne spacerki, piękna górská okolica i rzeki Ohře oraz Svatava. Pięknie wyglądała wartka rzeka w górach. Chodziło nas kilka, te, które zostawały w bloku, i my z Werą. Powrót był gorszy, bo niosłyśmy paczki, a także sprawunki, które nasze stróżki, przy okazji, załatwiały w mieście.

Raz, pamiętam, przyniosłyśmy paczkę pewnej Jugosłowiance. W paczce były między innymi włoskie orzechy. Przy otwieraniu paczek była zawsze nasza blokowa, Hane Baumann, Niemka z zielonym winklem. Patrzyła łakomie na te orzechy, więc Jesica dała jej ich sporą garść. Ale ten jej dobry uczynek został surowo ukarany. Okazało się, że parę orzechów było otwartych, jądra wyjęte, a w zalepionych łupinkach były grypsy. Blokowa pokazała to komendantowi, który podobno był jej kochankiem. Wezwano Jesicę do komendanta, wróciła zapłakana i pobita, ale nie chciała powiedzieć, co ją tam spotkało. Następnego dnia wywieziono ją do Flossenbürga. Co się z nią stało, nie dowiedziałyśmy się, do obozu nie wróciła.

Prócz chodzenia do miasta do nas, pielęgniarek, należało utrzymywanie czystości w ubikacji i w Waschraumie. Ja sprzątałam Waschraum, a Wera ubikację. Na obiad kobiety przychodziły z fabryki do obozu, po zjedzeniu obiadu myły miski w Waschraumie. Miski miały przy brzegu dziurki, przez które przewleczony był sznurek i które przyczepiano do pasków. Łyżki przewlekano przez dziurki od guzików, na które zapinany był pasiak na piersiach. Ale nie wszystkie kobiety wszystko zjadały. Co dzień, jak rok długi, we wszystkich obozach, prócz Neu Rohlau, dawano nam rozgotowaną brukiew. Czasem parę kartofli gonilo się w kotle. Więc te niezjedzone resztki wylewały do koryt w Waschraumie. W Waschraumie stały 4 koryta ustawione na nóżkach, 2 pod ścianami, a 2 na środku, nad nimi biegła rura z kranami z wodą. Odpływy tych koryt zatykały się, a czasem zatykały się i ścieki. Musiałam to wybierać, aby nie zatkały kanałów, musiałam wymyć koryta, do których lała się woda z kranów, i umyć betonową podłogę. Robota była nieprzyjemna, bo brukiew wybierałam rękami, a koryta i podłogę zlewałam wiadrami wody, tak aby brud zmyć w kierunku ścieku.

Od zimnej wody grabiały ręce, a trudno też było uniknąć zapryskania pasiaka.

Z powodu pracy w Waschraumie miałam kiedyś przykre zajście. Właśnie myłam Waschraum, gdy przybyła jakaś kobieta i powiedziała, że pielęgniarki mają iść na rewir. Zostawiła więc Wera swoją ubikację, a ja Waschraum i poszłyśmy na rewir. Weszłyśmy do jakiegoś pokoju, gdzie siedział nasz komendant i dwóch cywilów. Pielęgniarki z rewiru stały pod ścianą, więc podeszłyśmy i my do nich. Jeden z cywilów zobaczył moje ręce, czerwone jak raki, zamoczony pasiak i mokre drewniaki, i spytał, co robiłam. Powiedziałam, że myłam Waschraum. Ten zdziwił się, że pielęgniarki są używane do takich robót. Obejrzel nas i rozeszłyśmy się, każda do swojej pracy. Ale wieczorem wezwano mnie do blokowej, poszłam, był u niej komendant, spytał, co robię w bloku, a gdy na końcu wylizania moich obowiązków powiedziałam, że myję Waschraum, nagle poczułam silne uderzenia i palenie twarzy z obydwóch stron. Nie zauważyłam kiedy mnie bili, tylko czułam. Byłam tak ogłuszona, że nawet nie spostrzegłam, kiedy, kopnięta w siedzenie, wyleciałam za drzwi. Ale nie poszłam zaraz do koleżanek, musiałam się wypłakać i trochę uspokoić. Poszłam więc do ubikacji, aby mnie nikt nie widział. Od tej pory unikałam komendanta jak ognia. Gdy on wchodził do bloku, chowałam się do ubikacji albo uciekałam drugimi drzwiami.

Gdy pierwszy raz weszłam do bloku, podbiegła do mnie pewna Czeszka, którą znałam z Oświęcimia, i zawołała: „Marija i ty tu jesteś?”. Odtąd bardzo dużo kobiet, cudzoziemek, mówiło do mnie Marija, było to imię łatwiejsze do wymawiania niż moje własne. I tym imieniem w innych obozach często mnie nazywano.

Gdy po pracy wracały kobiety z fabryki, blok ożywiało się, robiło się ciepło. Kobiety opowiadały o różnych zda-

rzeniach w fabryce, załatwiały interesy, klóciły się, śmiały, odwiedzały. Następnie kolacja, gaszono światła i spać.

W tym obozie zobaczyłam anormalną przyjaźń między kobietami, ale tylko między Niemkami. Widziało się bardzo kobiece osoby wdzięczące się do kobiet o męskim typie. I odwrotnie. Ale musiały się bardzo pilnować, bo raz taką parę komendant postawił na cały dzień przed blokiem i co jakiś czas aufzjerka oblewała je wodą.

Zimą w pierwszej jadalni urządzono sypialnię, w której Francuzki szyły cywilne sukienki dla stróżek, żon esesmanów i ich dzieci. Robiły na drutach swetry i skarpetki. Szyły też naszą odzież i bieliznę. Od czasu wizyty tych dwóch cywilów w naszym obozie nie byliśmy już zatrudnione przy utrzymywaniu porządku w bloku. Wera przesiadywała na jedyńce, u blokowej, z którą zawarła bliższą znajomość, a ja siedziałam u Francuzek. Miałam zawsze rozłożone na stołku pudełko, w którym przechowywałam trochę waleriany, aspiryny i jeszcze jakieś kropelki, które nie mogły nikomu zaszkodzić, a pomagały, jeśli udało mi się to chorej wmówić. Najważniejszy był grzebień i kupreks. Zawsze jedna Francuzka miała rozpuszczone włosy, aby wyglądało, że i ja pracuję. A naprawdę rozmawiałyśmy, opowiadając o swoim kraju, mieście, rodzinie. Albo któraś opowiadała czytana kiedyś książkę, film lub sztukę teatralną. Dobrze żyło mi się wśród nich.

Tylko w soboty, gdy praca w fabryce kończyła się wcześniej, do moich obowiązków należało przejrzanie ciał wszystkich kobiet, czy nie mają świerzbu lub innej wysypki. Przejrzanie bielizny, czy nie jest zawszona. To samo robiłam w niedziele. Jeśli zauważyłam na ciele jakieś wypryski, to albo sama smarowałam maścią, albo wysyłałam na rewir. Ale kobiety nie lubiły rewiru, bo tam je okradano, wołały iść do fabryki niż na rewir. Gdy głowy były mało zawszone, trzeba było je zlać kupreksem, a gdy bardzo zawszone – obcinać włosy. Żadnej kobiecie nie

obciewałam włosów, bo byłam zdania, że jeśli kupreks zniszczy parę wszy, to może zniszczyć i dużo. Zlewałam więc głowy solidnie, zawiązywałam chustką i tak chodziły. Wera chętnie obcinała włosy, toteż kobiety z jej bloku, szczególnie Francuzki, które w obozie były bardzo bezradne, ciągle przybiegały do mnie i prosiły, abym im obejrzała włosy, bo bały się obcięcia włosów. Długo przekonywałam Werę, że nie można na 5 minut przed końcem wojny, obcinać kobietom włosów. Wreszcie ustąpiła.

Jak już pisałam, kobiety w tym obozie były zahartowane i wyjątkowo czyste. W każdą sobotę zdejmowały bieliznę i prały ją w zimnej wodzie, czasem udało się zorganizować trochę ciepłej wody z kuchni. Suszyły przy piecykach i zaraz wkładały. Można sobie wyobrazić, jaki ul był w bloku w takim dniu.

Dobrze żyłam z sąsiadkami z naszego ganku (to były dwa piętrowe łóżka stojące w poprzek bloku, jedno wzdłuż, i znów dwa w poprzek). Były to dwie Czeszki, Paula Bžanková i Lida Smrhová, które spały nade mną. Lida była młoda, zdrowa jak na obóz, wcale nie szczupła. Gdy wchodziła na swoje łóżko, mówiła: „Uwaga, bo wchodzi ciężka waga”. Dwie Jugosłowianki: Kristjanka Dobnik, Marija Kegu (z tą ostatnią koresponduję), spały obok mnie, Vera Franko, której ojciec był Ukraińcem (wnuczka Iwana Franki), matka Austriaczką, a ona czuła się Polką. Urodzona i wychowana we Lwowie. Była też Helga Mader ze Lwowa, ciągle głodna. Dostawałyśmy jednakowe porcje chleba wieczorem, ona zawsze zaraz wszystko zjadała, a ja zostawiałam sobie kawałek na rano. Chleb chowałam pod siennik, aby mi go ktoś nie ukradł, a rano dzieliłam się tym chlebem z Helgą. Ale którejs nocy złapałam ją, gdy sięgała pod mój siennik. Wyrzuciłyśmy ją z naszej sypialni.

W tym czasie zwróciła na siebie moją uwagę inna więźniarka, młoda, ładna blondynka, ale bardzo zanie-

dbana – szmukstyck (Schmuckstück), nazywała się Jašlis Stolle, Litwinka. Nie miała nic poza tym, co na sobie, a i to było brudne i podarte. Zająłm się nią. Trzeba było ją wykapać i zdobyć dla niej czystą bieliznę i świeży pasiak, bo w tym, co miała, mogła przylepić się do ściany. Aby to uzyskać, wysmarowałam ją czarną maścią przeciw kreczy (świerzb) i zaprowadziłam na rewir do kąpieli. Łachy oddałam, a na ich miejsce dostałam czystą bieliznę, a nawet wytargowałam dla niej ręcznik. I tak zaczęła się moja nowa przyjaźń, trwająca do dzisiaj.

W naszym obozie było komando węglowe, które opatrywało cały obóz w węgiel. Cały dzień kobiety nosiły na tragach węgiel skądś, spoza obozu. Była to ciężka praca. Któregoś dnia oberka wzięła Jaszkę do tego komando, poszła, ale ledwo wróciła. Zmizerowana, wałła jak nieszczęście, trzeba było coś zaradzić. Więc następnego dnia schowałam Jaszkę za łóżko, a sama stałam przy łóżku, aby ją lepiej zasłonić. Oberka szukała, ale nie znalazła jej, wybrała inną na jej miejsce. Gdyby oberka ją znalazła, dostałybyśmy obydwie porządne lanie. No ale trzeba było ryzykować. Do naszego grona należała też pani Topolska z Konina i pani Jabłczyńska z Sosnowca, obydwie bardzo kulturalne.

W każdym obozie byli ludzie zaniedbani, opuszczeni, zrezygnowani, niedbający już o nic. Na Majdanku taką osobę nazywano „gamel”, w Oświęcimiu „muzułman”, a w Ravens i tutaj „szmukstyck”.

Miałam parę takich „szmukstycków” (Niemki i jedna Francuzka), które trzeba było zaprowadzać do Waschraumu, umyć, uczesać i ciągle mieć na oku, bo nigdy nie było wiadomo, co mogą zrobić; zabierały innym różne rzeczy, psociły, a nawet załatwiały się do łóżka. Kiedyś jedna z tych Niemek poszła do Waschraumu, umyła się sama i przybiegła do mnie, pochwalić się jak dziecko. Ale wkrótce wywieziono ją do Flossenbürga.

Obóz nasz był bardzo zawszony, kobiety myły się, tępiły wszy, prały nędzną bieliznę, ale to nie pomagało, bo wszy siedziały w siennikach. W nocy czułam, jak chodziły po mnie, starałam się je łapać. Nieraz udało mi się to, więc złapaną kładłam na bocznej desce łóżka i zabijałam. Ale nie zawsze to się udawało, wesz albo spadała na dolne łóżko, albo wracała na moje. Żadne nasze zabiegi nie mogły uwolnić nas od tej plagi.

Kobiety pracujące w kuchni musiały być zdrowe. I dlatego jeśli nawet któraś zachorowała, leczyła się „po cichu”, bo nie chciała tracić miejsca, gdzie mogła sama zjeść i jeszcze koleżankom coś przynieść. Pewnego dnia przysłała do mnie Liza (Austriaczka) i prosiła, abym jej pomogła, bo dostała krecę. Kobiety pracujące w kuchni mieszkały w małej jadalni 1-ego bloku. Chodziłam tam, smarowałam Lizę, która odwdzięczając się, dawała mi kawałek chleba, a raz dostałam od niej kawałek gotowanego, wołowego serca. Pierwszy raz jadłam serce wołowe, ale było wspaniałe! Od drugiej mojej pacjentki z kuchni dostałam słoiczek marmolady pomieszaney ze sztucznym miodem. Skarb ten przyniosłam do bloku z myślą, że podzielę się z przyjaciółkami, ale już cały blok spał, nie mogłam się z nimi podzielić. Postanowiłam zrobić to jutro, teraz chciałam tylko spróbować. Ale ta mieszanina była taka dobra, a ja tak spragniona słodczy (nic słodkiego nie dostawałyśmy, kawa też była niesłodka), że sięgnęłam łyżką jeszcze parę razy, za każdym razem postanawiając, że to już ostatnia łyżka. Lecz, niestety, nie miałam tyle silnej woli, aby oprzeć się marmoladzie. Słoiczek był nieduży, toteż wkrótce opróżniłam go. Wyrzucałam sobie, że zjadłam sama, ale było już za późno!

Boże Narodzenie w tym obozie upamiętniło się nam szczególnie. Wigilię spędziłam wśród moich „szmuksztyków”. Z okna widać było w pewnej odległości rzekę Ohře, a za nią Falkenau. Nad miastem unosiły się dymy

z kominów. Ludzie szykowali się do Wigilii, pogoda była ładna, śnieg leżał na polach. Było mi smutno i właśnie dlatego poszłam do kobiet najbardziej mnie potrzebujących. Widziałam pierwszą gwiazdę i myślałam o swoich, bo każde z nas czworga znajdowało się gdzie indziej: mąż na wojnie, dzieci u rodziny, a ja w obozie.

W pierwszy dzień świąt urządzono nam apel, chociaż do pracy nikt nie szedł. Stałyśmy na tym apelu, wypędzone niespodziewanie, przez cały dzień. Za naszymi blokami i drutami był blok, w którym mieszkali Włosi, chodzili gdzieś do pracy, prowadzeni przez esesmanów. Druty dzielące nasze bloki obłożone były matami ze słomy, aby utrudnić ewentualne porozumiewanie się. Ale Włosi widzieli, że stoimy tak długo. Z początku śpiewali, później, gdy nasze stanie przedłużało się, gwizdali i coś krzyczeli. Nasze stróżki zmieniały się. Widać było, że krzyki i gwizdy Włochów denerwują je. Było już ciemno, gdy wreszcie zwolniono nas. Byłyśmy zziębnięte i bardzo zmęczone całodziennym staniem o głodzie. W blokach wszystkie łóżka były rozgrzebane, splądrowane, zabrano wszystko, miski, łyżki, grzebienie, szczotki do zębów, zapasową bieliznę itp. Zostałyśmy z tym, co która miała na sobie. Dopiero wtedy dano nam zimną brukiew, ale czym tu jeść? Nie każda wzięła ze sobą, w święto, na apel, miskę i łyżkę. Większość zostawiła „broń” w bloku. Jakoś w pożyczonych miskach zjadłyśmy, ale byłyśmy przerażone tą grabieżą. Po jakimś czasie każdej udało się jakoś „zorganizować” miskę i łyżkę, ale inne przedmioty były bezpowrotnie stracone.

Na początku stycznia przywieziono do naszego obozu transport Cyganek. Były to węgierskie Cyganki, z których tylko kilka znało język niemiecki, a wszystkie znały piękny język węgierski. Umieszczono je w drugiej sypialni 1-ego bloku, gdzie wówczas blokową była Czeszka, Dobruška, która skarżyła się, że nie może sobie poradzić z Cy-

gankami. Nie pomagało bicie pantimą po głowach, nie słuchały, co ona do nich mówi, a każda robiła co innego. No i mnie przydzielono jako pielęgniarkę do Cygank, które były niekarne, wrzaskliwe i brudne. Były między nimi też chore, a ponieważ Niemcy bali się chorób, więc miałam spokój, bo żaden esesman nigdy tam nie zaglądał. Cyganki ubrane były w cywilne sukienki i płaszcze. Ponieważ nie pracowały, dostawały tylko połowę normalnej porcji chleba. Zupą też najeść się nie mogły, były więc stale głodne. Wstęp do tej połowy bloku był wzbroniony dla kobiet z lagru. Cygankom też nie wolno było wychodzić na lagier. Ale w bloku były okna. Pod te okna przychodziły kobiety z chlebem, za który kupowały swetry i sukienki od Cygank, tak, że wkrótce te nie miały już co sprzedawać. A upilnować i przeszkodzić tym transakcjom było bardzo trudno. Cyganki wychodziły do ubikacji lub do Waschraumu i tam, przez okna, dobijały targu. Toteż wkrótce miały na sobie już tylko płaszcze. Cyganki nie lubiły się myć. Gdy je oglądałam i twierdziłam, że są brudne, odpowiadały „nem piskos” – niebrudne. Urządzałam parę razy ogólne mycie. W tym celu wyprowadzałam po kilka do Waschraumu i kazałam im się myć. Te myły się, ale inne nie przychodziły albo przychodziły te, które już się umyły i mówiły, że już wszystkie są umyte. Gdy znów byłam w sypialni i partiami wysyłałam je do mycia, wracały zaraz i mówiły, że już się umyły. W końcu zaniechałam tej zabawy w „ciuciubabkę”.

Cyganki nie miały łóżek, na podłodze były tylko rozrzucone sienniki. W tej sali czuć było nieprzyjemny zapach potu, więc kazałam otwierać okna. Toteż ile razy wchodziłam do nich, witały mnie słowa „Ablokat kinyitja” – otworzyć okna. Bardzo szybko moje stosunki z Cygankami ułożyły się jak najlepiej. Siadałam na stołku, na środku sali, na drugim stołku miałam swoją skromną apteczkę. Każde krople i każda maść leczyły ich różne

dolegliwości. Gdy skończyłam codzienne zabiegi, Cyganki uspokajały się, prosiłam, aby śpiewały. Śpiewały, ładnie śpiewały swoje cygańskie romanse. Często jedna podczas śpiewania płakała, a zapytana, czemu płacze, mówiła, że to smutna piosenka. Dobrze mi było z Cygankami, ale, niestety, wkrótce je dokądś wywieziono, a ja wróciłam na blok 2.

Ponieważ w fabryce było coraz mniej pracy (wiosna 1945 r., brak dowozu), dużo kobiet wysyłano do innych obozów, tak że blok 1-szy opustoszał. Ale w lutym do naszego obozu przyprawiono pieszo z Ravensbrück nowy transport. Były to Żydówki, które umieszczono w 1-szym bloku. Blokową była tam wtedy Francuzka, Georgetta, zwana Żożu. Była to starsza, szpakowata, bardzo miła kobieta. Żydówkom nie dano sienników, spały na rozrzuconych na podłodze wiórkach drzewnych. Te kobiety szły zimą z Ravens aż pod Karlsbad! Ile ich w drodze zostało? A te, które przyszły, były bardzo zniszczone, zmęczone, miały poodmrażane nogi. Były też bardzo zawszone. Zostałam znów pielęgniarką na 1-szym bloku i mieszkałam z Żożu w małym pokoiku. Ale teraz praca była trudna, ciężka, bez leków, bo to, co pomagało Cygankom, tym kobietom nie mogło pomóc. Tu potrzebny był lekarz i lekarstwa. Teraz nie wolno mi było opuszczać bloku ani nikomu obcemu wchodzić do nas, bo podobno Żydówki miały ze sobą przywlec tyfus. Ale pewnego wieczoru przemknęłam się na rewir, gdzie była już lekarka, Zyta Martynek (z czerwonym winklem, ale bez litery, co oznaczało Niemkę). Lekarka ta mówiła świetnie po polsku i prawdopodobnie była Polką. Prosiłam ją o pomoc dla moich chorych, ale ona odpowiedziała po niemiecku „Die sollen krepieren” – powinny zdechnąć. Odeszłam z niczym.

Te biedne kobiety, żarte przez wszy, prosiły o kąpiel. Zrzekły się kawy na rzecz kąpieli. Żożu o to zabiegała. I urządzono im kąpiel! Przyszły stróżki, wyrzuciły wszyst-

kie kobiety na dwór, kazały umyć podłogę, wyrzucić stare wiórki. A teraz zaczęła się kąpiel, w Waschraumie, w zimnej wodzie. Dostałam do pomocy dwie pielęgniarki i we trzy obcinałyśmy włosy, które roily się od wszy. Od tych postrzyżyn miałyśmy bąble na rękach. Kobiety rozbierały się przed blokiem, całą garderobę rzucały na stos, myły się, były strzyżone, szły do sali, a na progu dostawały świeżą bieliznę i sukienki. Ale najczęściej bielizna była albo za mała, albo za duża, dziecięca, a nawet męska. A sukienki letnie, przezroczyste, akurat odpowiednie na zimę! O swetrach ani płaszczach mowy nie było. Najpierw szły te, które mogły iść i same umyć się. Później już szły słabe, które musiałyśmy prowadzić i myć. A ostatnie musiałyśmy nosić. I tak, źle ubrane, szły spać na wilgotne wiórki. Toteż śmiertelność była duża. Wiórki drzewne, wyrzucone z bloku, i cała garderoba Żydówek zostawiona przed blokiem, była polana naftą i spalona.

Kiedyś widziałam, jak jedna kobieta wracała z ubikacji, szła na kolanach, kolana miała oblepione wiórkami. Zaprowadziłam ją na jej miejsce i zaczęłam zdejmować wiórki z kolan, ale gdy odlepiałam te wiórki, z kolan zaczęła płynąć ropa. Innym razem zobaczyłam czołgającą się kobietę, nie mogła chodzić. Duży palec u nogi był zgangrenowany, musiałam go odciąć.

To znów gdy coś robiłam przy jednej z kobiet, która nie wstawała, bo miała odmrożone stopy, ta spytała mnie, czy będzie mogła jeszcze kiedyś tańczyć. Spojrzałam na nią uważnie i zdumiałam się, bo zobaczyłam starą kobietę. Zaczęłam ją więc wypytawać i okazało się, że była tancerką w Chodov, miała 24 lata. Naprawdę, trudno mi było w to uwierzyć, a przecież nie miała powodu, aby kłamać.

Dwa razy w tygodniu robiłam opatrunki (brak środków), był tam świerzb, różne wrzody, ropiejące skaleczenia, jakieś krosty, pęcherze i bardzo często szkorbut. Musiałam smarować, bandażować, przyklejać plastry.

Najgorzej było ze szkorbutem, z ust cuchnęło niesamowicie, a trzeba było wszystkie pędzlować. Gdy byłam tym zajęta, Żożu zaglądała czasem przez oszklone drzwi, ale zaraz uciekała. Dziwiła się, że mogę to wszystko robić. A gdy skończyłam i wróciłam do naszego pokoiku, wyciągała papierosy i mówiła: „No Marija, teraz możemy zapalić”, i dawała mi papierosa. Skąd je brała, nie wiem, bo tutaj było bardzo trudno o papierosy.

W marcu były moje urodziny, na które dostałam od Jaszki taki wiersz:

Gdy tęsknota mnie wzruszy
I ciężko mi na duszy,
Wyrywam o zmroku
Do pierwszego bloku.
Długo tam nie stoje,
Bo się Żożu boję.
Ale dziś nadrabiam miny,
Bo to Cechy urodziny!
Trzeba jej szczęścia powinszować
I choć na przestrzeń ucałować.
Skradam się więc bliżej
Kłaniając coraz niżej,
Oglądam się na strony,
Jak gołąb spłoszony...
I choć mnie tam nikt nie prosi
(Bo Cecha Litwinów nie znosi),
Pcham się z wesołym obliczem
I nie nastraszy mnie Żożu niczem.
Gdy widzę z daleka,
Że Cecha już czeka,
I miga z okienka
Jej pasiasta sukienka.
Chociaż Polak jest gościnnie,
Tu panuje zwyczaj inny.
Do środka nie zapraszają
I tyfusem odstraszają.
Nawet kto winszuje szczerze
Się do środka nie dobierze,

Bo tam siedzi czarny smok
I zabija jego wzrok!
A ja, chociaż nie znam trwogi,
Trzęsą się pode mną nogi,
I wesołej nie mam miny
Jak przystało w urodziny.
Cecha uśmiech ma na twarzy,
Wszystkich sobie lekceważy
I ma humor bez podniety
Opatrując jud – szkielety.
Na to trzeba nerwów moc,
Aby czuwać dzień i noc
Nad żyjącym, ludzkim trupem
Co już jest Mojżesza łupem.
W życiu się tak zawsze dzieje,
Że się śmiech ze łzami leje,
A ten tylko już przegrywa,
Komu na uśmiechu zbywa.
Więc kto chce humoru kupić,
Musi się do Cechy zwrócić.
Ma go zawsze pełen wór,
Chociaż w krąg jest głód i mór!
Ja też do tych drzwi zapukam
Kiedy pocieszenia szukam.
Czasem także mnie tam zwabi
Pełna miska Kohlrabi.
Ale dziś, w ten dzień radosny,
Co wylicza Cechy wiosny,
Przyszłam tylko powinszować,
A nie żebrać lub kupować.
Życzę więc, by zdrowa była,
Długim życiem się cieszyła.
A gdy wojny czas przeleci
Powróciła do swych dzieci.
I gdy przyjdzie dzień szczęśliwy,
Powrotu na rodzinne niwy,
Twarz twa dzielna i wesoła
Powita rodzinne siola.
A że dzień ten przyjdzie wkrótce,
Spotkamy się jeszcze przy wódce!

Gdy na rewirze umierały aryjki, ubierano je w papierową sukienkę, kładziono do trumny, prostej z nieheblowanych desek i odwożono na wózku na cmentarz w Falkenau. Wózek z trumną wracał. Ale Żydówki z pierwszego bloku też umierały. Ponieważ była zima, więc kazano nam zawozić je w kącie obozu i tam zostawić.

Jednak jest tak, że po zimie nadchodzi wiosna. Co zrobić ze zmarłymi leżącymi w kącie obozu? Zaraza gotowa! Więc władze obozowe przysłały ciężarówkę, na które musiałyśmy załadować zmarłe. Robiłyśmy to we dwie z Wera, toteż praca trwała długo, przerywana, bo musiałyśmy co jakiś czas odbiegać. Stróżki i esesmani stali z daleka i pokrzykiwali na nas, ale też odwracali się, bo zapach i do nich dolatywał. W końcu wsiadłyśmy na ciężarówkę, przykryłyśmy zmarłe, a wtedy wsiadła i nasza straż. Pojechaliśmy na cmentarz do Falkenau. Ale tutaj powstała przeszkoda: zmarłe były Żydówkami i nie mogły być pochowane na cmentarzu chrześcijańskim. Targi trwały długo. Nasza straż nie chciała wieźć ładunku z powrotem do obozu, a zarząd cmentarza nie chciał go przyjąć. W końcu nasza straż chciała zostawić zmarłe (aby ich nie wozić) gdzieś w końcu cmentarza, ale zarząd powiedział: „Dobrze, ale postawcie przy nich straż”. Te targi stawały się już śmieszne. A my marzłyśmy przy samochodach, gdyż padał śnieg z deszczem. A koniec był taki, że wróciłyśmy z ładunkiem do obozu, samochody ustawiono w odległym kącie obozu, a po dwóch dniach odjechały do Karlsbadu, ale już bez nas. Wkrótce wywieziono resztę Żydówek w nieznanym kierunku, a ja wróciłam znów na drugi blok.

Łóżko dostałam już inne, obok najbliższych koleżanek: Jaszki i Wery. Teraz dni wlokły się, bo dużo kobiet zostawało w bloku z powodu braku pracy w fabryce. Jedzenia było coraz mniej. Porcje chleba kurczyły się.

Pewnego dnia przyszła do mnie jedna kobieta, Polka (czarny winkiel), i prosiła, abym jej pożyczyła chusteczkę na głowę. Potrzebne były kobiety do sprzątanania bloków aufzjerskich. Za tę pracę dostawały jedzenie. Kobiety były głodne, nie było skąd zdobyć jedzenia, więc chętnie zgłaszały się do tej pracy. Ta, która przyszła do mnie, miała chusteczkę podartą. W tym obozie wszystkie więźniarki musiały nosić białe chusteczki na głowach, wiązane pod brodą. Pielęgniarki tylko wiązały chusteczki z tyłu głowy. Ponieważ miałam dwie chusteczki, pożyczyłam jej jedną. W parę dni później przyszła do mnie jedna Francuzka i powiedziała, że przyszły do obozu nowe chusteczki, więc może mi moje stare wymienić na nowe. Zaraz też wymieniałam tę, którą miałam na głowie, tę drugą, która już dawno przestała być nowa, chciałam też wymienić. Poszłam więc z Jaszka do tej kobiety, której pożyczyłam chusteczkę i prosiłam ją o oddanie, zresztą na krótko, tylko do wymiany. Ale ta jakoś zmieniła się i powiedziała, że jutro mi odda. Jutro też jej nie miała, w końcu powiedziała, że ktoś jej ukradł z łóżka moją chusteczkę. Ukradł, to ukradł, nie takie rzeczy traciłyśmy często. Gdy wracaliśmy z Jaszka do siebie, ta była oburzona, że nawet nie zwymyślałam tej kobiety. Ale w parę dni później zjawia się ta kobieta i przynosi mi chusteczkę. Zdziwiona mówię, że przecież ktoś jej ukradł moją chusteczkę. A ta wtedy powiedziała, że ponieważ jej nie zwymyślałam, więc ona musiała znów komuś ukraść, aby mi oddać, co była winna. Gdybym ją zwymyślała, czułaby się skwitowana.

Kobiety pracujące w fabryce używały tam do czegoś „tri”, żrącego płynu pachnącego spirytusem. Kobiety były różnego wieku i autoramentu, były więc i takie, które lubiły „zalać robaka”. Parę takich spryciarek przemycalo w jakiś sposób „tri” z fabryki do bloku, filtrowały, a gdy uznały, że wódka jest już „wyborowa”, postanowiły popić. No i popiły. Kilka z nich po uczcie „zwiedzało Rygę”,

a jedna była śpiąca, więc położyła się do swego łóżka i usnęła. Rano apel nie zgadzał się, liczono i liczono i ciągle było jednej brak. Doszli w końcu, że brak kobiety z drugiego bloku. Zaczęliśmy więc szukać, znaleźliśmy śpiącą, nieprzytomną, z bardzo słabym tętnem. Wzięto ją na rewir, a gdy trochę przyszła do siebie, zamknęli ją w bunkrze. Reszta amatek „wody ognistej” ciężko chorowała, ale leczyły się same, bały się iść na rewir. Pomagała im młoda, polska Cyganka pracująca w kuchni SS, przynosiła, bardzo się narażając, mleko do picia. Miało to leczyć poparzony przełyk.

Jedna z więźniarek, Janina Charzewska, która naprawdę nazywała się Bilewiczowa, też lwowianka, pracowała w szrajbsztubie, a mieszkała w bloku III. Ponieważ aufzjerek było teraz więcej, bo przyjechały ze zlikwidowanych na wschodzie Polski obozów, więc Janinę wyrzucano ze szrajbsztuby. Siedziała całe dni w bloku, aż kiedyś zobaczyła znajomą aufzjerkę z Plauen (jednego z licznie rozsianych obozów przyfabrycznych w Sudetach i Rudawach), która przyjechała do naszego obozu w jakichś sprawach. Janina wyszła do niej i rozmawiając, gdzieś odeszły. U nas na apelu znów jednej brak, znów szukanie, aż ustalono, że Janina związała. Szukali, aż telefonicznie dowiedzieli się, że Janina z aufzjerką pojechała do Plauen. Po paru dniach sprowadzili ją i okropnie zbili. Janina chodziła posiniaczona i samotna, bo wszystkie więźniarki krzywo na nią patrzyły, bo pracowała w szrajbsztubie. Wzięłyśmy ją na czwartą do naszej sypialni.

Gdy przyjechałam do Ravensbrück, jedna koleżanka z Oświęcimia, która wcześniej wyjechała do Ravens i wiedziała, że tajnie koresponduję z Bogdanem, przyszła do mnie i przyniosła mi parę fotografii w kopercie. Na kopercie było nazwisko Tarchalska, a wśród zdjęć fotografia Bogdana w mundurze oficera marynarki. Tę jedną zostawiłam sobie. Gdy przyjechałam do Neu Rohlau, za-

brano mi ją razem z innymi drobiazgami. Kiedyś w Zwodau Janina spotkała mnie na lagrze (jeszcze pracowała w szrajb-sztubie), a był to okres przed Wielkanocą, i sądząc, że miałam wówczas fotografię męża, zapytała, czy chcę mieć na święta jego zdjęcie. Fotografia ta, wraz z moimi dokumentami, jechała za mną. Oni myśleli, że to był mój mąż, a to był cioteczny brat mojego męża.

Nie wiem, z jakiej okazji pielęgniarki w tym czasie dostały nowe koszule z granatowego materiału w białe paski, dostałyśmy też chusteczki do nosa. To już był luksus!

Od początku kwietnia słychać było u nas dalekie, ciężkie grzmoty. Ale te grzmoty słyszałyśmy w dzień i w nocy, więc zrozumiwałyśmy, że to zbliża się front. Cieszyłyśmy się i bały jednocześnie. Cieszyłyśmy się, że nareszcie będzie koniec naszej męki, ale bałyśmy się, bo mówiono, że Niemcy gazują więźniów, a gdzie nie mogą gazować, to zabijają. Dlatego aby nie dać się zaskoczyć, prawie wszystkie spałyśmy w pasiakach, aby być gotowe do ewentualnej ucieczki. Kobiety już nie pracowały w fabryce, wychodziłyśmy za bloki, tam siadałyśmy i zgadywałyśmy, jak daleko może być front i kiedy może dojść do nas. W tym czasie dawano nam bardzo mało jeść, byłyśmy ciągle głodne, nic więc dziwnego, że tęskniłyśmy do kuchni amerykańskiej. To były bardzo długie dni.

Aż 21 kwietnia na apelu powiedziano nam, że jutro rano mamy być gotowe, bo opuszczamy obóz. Poszyłyśmy więc z ręczników woreczki na swój dobytek i przyczepiałyśmy je do pasa albo przewieszałyśmy je przez ramię. Szybko byłyśmy gotowe, bo nasze mienie było ubogie. Wolno było wziąć ze sobą koce, więc zabrałyśmy. Rano, po apelu, dano nam zupę, a na drogę po kawałku chleba na cały dzień. Wyruszyłyśmy z obozu do Falkenau i dalej na południe. Mówiono, że idziemy do Bayreuth. Słyszymy chętnie, bo wiedziałyśmy już, że koniec wojny blisko i osta-

tecznie wszystko jedno, w którym obozie nas zastanie. W Falkenau ludzie przypatrywali się nam, a miny mieli zakłopotane. Na drodze też widzieliśmy dużo ludzi idących lub jadących na południowy zachód. Ciągnęli lub pchali wózki ze swoim dobytkiem. Widok jak w Polsce w 1939 r.

Pogoda była kwietniowa, pół godziny świeciło słońce i było ciepło, a drugie pół padał śnieg dużymi płatami. Ale byliśmy zadowolone, że idziemy. Okolica była piękna, górzysta. Często spotykaliśmy strumienie wartko płynące, a na ich brzegach kwitnące przebiśniegi. Góry porośnięte były lasami. Od czasu do czasu mijałyśmy zabudowania gospodarskie. Pod wieczór zatrzymano nas na skraju jakiejś osady, dano nam znów po kawałku chleba i zapędzono do stodoł, ale tłok był tak duży, że o tym, aby usiąść, trudno było marzyć. Tak stłoczone, na nogach, które niosły nas już cały dzień, przestałyśmy całą noc, opierając się na sąsiadkach. Ale, odurzone świeżym powietrzem, spałyśmy, stojąc. Rano, gdy otworzono wrota stodoły, kobiety wychodziły, ślaniając się na nogach. Tego dnia nie szłyśmy tak rażno, przemęczone okropną nocą. Znów dostałyśmy po kromce chleba na cały dzień, to dużo za mało. A w tym czasie widzieliśmy aufzjerki jedzące kiełbasę, gdy nam kiszki grały marynarskie tango.

Było już chyba południe, gdy zatrzymano nas w lesie. Żożu przyszła do mnie i powiedziała, że idziemy do Dachau. Ale zdaje się droga nie jest wolna i komendant pojechał dowiedzieć się, co dzieje się przed nami. Był to 23 kwietnia, więc Jerzego, złożyłam Żożu życzenia rychłej wolności. Stałyśmy tak parę godzin, co bardziej nas męczyło niż marsz. Siadałyśmy więc na kamieniach, na pniakach, na złamanych drzewach, a nawet na mokrej ziemi. Aż w końcu kazano nam zrobić w tył zwrot i maszerować tam, skąd przyszłyśmy. Byłyśmy bardzo zmęczone i głodne. Któraś z kobiet miała surowe kartofle, musiała je

„zorganizować” w kuchni podczas gorączki wymarszu z obozu. Dała nam kilka kartofli, ale chociaż jeść nam się bardzo chciało, nie mogliśmy zjeść całego kartofla.

Droga powrotna trwała dłużej. Noc spędziłyśmy w tych samych stodołach, marząc o naszych twardych, zawszonych łózkach w bloku. Ale gdy wróciłyśmy do obozu, druty były częściowo zdjęte. Na placu odbył się apel, ale teraz podzielono nas na narodowości. Polki umieszczono w bloku nr I, w jednej sypialni, drzwi do drugiej były szczelnie zamknięte. W tej drugiej sypialni mieszkały Rosjanki. Wiórków na podłodze już nie było, miałyśmy tylko koc i gołą podłogę. Z bloków nie wolno było wychodzić, esesmani mogli strzelać do kobiet chodzących po lagrze. Siedziałyśmy więc na podłodze, bo żadna nie chciała ryzykować przejścia do innego bloku.

Jeszcze na początku wiosny Jugosłowianki i Francuzki prowadziły długie rozmowy na tematy kulinarne, śmiałyśmy się z nich, że to im i tak nie pomoże, a tylko podnieca głód. A teraz, zamknięte, zaczęłyśmy i my opowiadać sobie, co i kiedy gotowałyśmy lub piekłyśmy. Czasu miałyśmy dużo, więc musiałyśmy go wypełnić. Najczęściej jednak siedziałyśmy we cztery pod oknem, a Vera opowiadała przeczytane kiedyś książki. Opowiadała bardzo ładnie, więc często mówiłyśmy: „Vera, czytaj książkę”.

Teraz w obozie zaczął się prawdziwy głód. Jedna kromka chleba na dzień i zupa bez soli i już bez buraków. Nasłuchiwałyśmy tylko odgłosów frontu, które raz zbliżały się, to znów cichły. Denerwowało nas to czekanie. Na noc naturalnie nie rozbierałyśmy się.

Ale któregoś z pierwszych dni maja przy bramie zrobił się ruch. Aufzjerka wchodziła do drugiego bloku i wprowadzała po 3 kobiety. W tym bloku mieszkały Niemki i Czeszki. Przez okna dowiedziałyśmy się, że zwalnają je z obozu. Dają im jakieś dowody i wysyłają za bramę. Teraz wiedziałyśmy, że od wolności mogą dzielić nas tylko dni.

I właśnie 7-go maja, w południe, gdy rozdawano nam zupę, któraś kobieta zawołała: „Czołgi! Amerykanie!” Zerwałyśmy się z podłogi, nie zwracając uwagi na to, że zupa się rozlewa, a spostrzegłszy czołgi przy bramie, wybiegłyśmy z bloku w ich kierunku. Z innych bloków też wybiegły kobiety, ale tylko Francuzki miały swój trójkolorowy sztandar i śpiewały Marsylianę. Widziałyśmy naszych strażników i nasze stróżki stojące pod ścianą aufzjerskiego bloku.

Tak skończył się czas naszej niedoli. To, co przeżyłyśmy, tego nigdy nikt nie zdoła opowiedzieć, ponieważ kto doczekał i przeżył, ten zaniemówił, a martwi i tak mówić nie mogą.

Amerykanie bardzo troskliwie zajęli się nami. Najpierw zrobili ogólny apel, aby nas policzyć (Niemcy zdążyli zniszczyć wszystkie dokumenty). Podczas tego apelu jedna kobieta zemdląca, podbiegł więc do niej jakiś dryblas amerykański, wziął ją na ręce, zaniósł do bloku, a drugi przyniósł maszynkę spirytusową i puszkę z rosółem, który, zagrzany, ostrożnie wlewał jej do ust. Zakazano nam opuszczać obóz, bo w okolicy miały się kręcić różne niebezpieczne elementy. Amerykanie zaczęli nas stopniowo odżywiać, dostałyśmy bułki, masło, białą kaszę, zupy były coraz gęściejsze. Wśród Amerykanów był kapelan, Polak, ksiądz Kozikowski. Przyjeżdżał do nas często, wypytywał, czego nam potrzeba. Chore zabrali zaraz do szpitala w Falkenau i oddali pod fachową opiekę lekarzy. Jedna chora Niemka bała się jechać do szpitala (chore Niemki i Czeszki zostały), więc ja jej tłumaczyłam, żeby się nie bała, bo to nie są Niemcy, tylko Amerykanie i krzywdy jej nie zrobią. To była moja zemsta na Niemcach.

Amerykanie nie chcieli, abyśmy chodziły w pasiakach, więc przywieźli nam mundury kobiecych sił pomocniczych angielskich, koloru khaki. W tak dużym zbiorowisku kobiet musiał być ktoś, kto mógłby porozumieć się

z Amerykanami. Ponieważ Janina знаła angielski, została komendantką, a mnie kobiety wybrały na jej zastępczynię, czyli wszystko zewnętrzne należało do Janiny, a wewnętrzne do mnie.

Wśród nas było dużo młodych dziewcząt z Łodzi, te urządziły „ognisko” ze śpiewami harcerskich piosenek i z tańcami. Ognisko odbyło się wieczorem na placu między blokami. Goście siedzieli na stołkach, a my też pozbierałyśmy coś do siedzenia. Koło mnie siedział jakiś oficer amerykański mówiący po francusku, spytał, dlaczego dziewczęta tańczą bosą. Odpowiedziałam, że nie mają butów, a w drewniakach źle byłoby tańczyć. Po paru dniach przywieźli nam cały samochód butów, bielizny i cywilnych sukienek. Były to rzeczy z magazynów odzieży zagrabionej z całej Europy na „Winterhilfe”. Miałyśmy z Werą i Jazką dużo roboty ze sporządzeniem list więźniarek, aby wszystkie jednakowo obdarzyć.

Wkrótce do obozu przyjechali Francuzi i zabrali Francuzki. Jugosłowianie i Rosjanie zabrali swoje kobiety. My zostałyśmy najdłużej, po nas nikt nie przyjechał. Po 3 tygodniach, zaopatrzwszy dobrze na drogę, wsadzono do samochodów i zawieziono do Falkenau, gdzie czekały już towarowe wagony z siennikami. My, kobiety, zajęłyśmy pierwsze wagony, w tylnych jechali jeńcy wojenni, którzy mieli swój obóz też w pobliżu Falkenau.

Do Polski jechałyśmy 3 tygodnie, bo tory były uszkodzone i jeszcze jakieś inne przeszkody. Jechałyśmy przez Drezno i cieszyłyśmy się z jego zniszczenia, kapałyśmy się w Łabie. Pociąg miał długie postoje, ale cieszyłyśmy się, że nareszcie wracamy do Polski.

Wiersze,
teksty piosenek,
referat



Wiersze z Zwodau 7-ego maja

Chwile ostatnie przeżywając wojny,
My na podłodze legliśmy pokotem,
A na wychudłe, blade nasze twarze
Słońce przez okna rzucało blask złoty.
 Nie mogło jednak pobudzić w nas wiary,
 Że wróży ono nam dziś wybawienie.
 Na twarz niejedną, z głodu wycieńczoną,
 Śmierć zacząjona kładzie już swe cienie.
Właśnie był moment dla nas najważniejszy,
Bo „wasserzupkę” rozlewać zaczęto,
Kiedy ktoś krzyknął „Jezus, Maria, idą”,
I tak zaczęło się to pierwsze święto.
 Na bok rozkazy, krzyki i Befehle,
 W baraku nikt już nie zostanie,
 Wszystko wyległo, płacze z rozczulenia
 Amerykanie są, Amerykanie!
Z płaczem i krzykiem biegliśmy wzdłuż drutów,
A sił nam dziwnie jakoś przybywało,
Na taką chwilę czekałyśmy lata,
I właśnie dzisiaj, dzisiaj się to stało.
 I odtąd życie stało się tak piękne
 I Bóg tak dobry w tej swojej Wielkości,
 Bowiem w osobie księdza kapelana
 Zesłał nam dowód swojej Opatrzności.
Ach, drogi Ojcze! Po tych strasznych przejściach,
Po tych ostatnich, ciężkich chwil rozterce,
Przyszedłeś do nas aż z drugiej półkuli,
Przynosząc w darze szczere, polskie serce.
 I tak po prostu nam ofiarowałeś
 Uczucia swoje i swoje starania,
 Jakbyś nas wszystkie poznał już od dawna
 I wiele rzeczy miał do darowania.
Dzięki za wszystko! Chodzimy ubrane.
Kazałeś zrzucić „krzyże” i „pasiaki”,
Chodzimy dumne, bo teraz nosimy
Żołnierzy naszych piękny kolor khaki.

Dzięki za wszystko! Za te nabożeństwa,
Za twe przemowy i gorące słowa,
I za te wszystkie twoje wystąpienia,
Gdzie w twoich ustach polska brzmiała mowa.
Wiemy, że kiedyś rozkaz cię odwoła,
Że do tej drugiej swej ojczyzny wrócisz,
Cieszyć się będziemy twoim wielkim szczęściem,
Lecz swym odjazdem szczerze nas zasmucisz.
Na razie jednak jesteś jeszcze z nami,
Więc znika dla nas dziś smutku przyczyna.
Pozdrów więc tylko twoją zacną Matkę,
Za to, że dała nam takiego Syna!

W naszym lagrze życie
Wnet uległo zmianie,
Kiedy weszli do nas
Cni Amerykanie.
Wyleciała z posad
Ta pruska hakata,
Która nas gnębiła
Przez calutkie lata.
Bracia z Ameryki
Szczerze was witamy,
Za oswobodzenie
Mocno was kochamy.
Wśród Amerykanów,
Osoba kochana,
Droga naszym sercom
Księdza kapelana.
On to naszym losem.
Zając się dziś raczy,
Przez niego to wiemy,
Co opatrność znaczy.
On to kazał zrzucić
Przebrzydłe pasiaki,
Przyniósł osobiście
Piękny mundur khaki.

Gdy jego samochód
Z ubraniem zawarczy,
Każda tylko pyta:
Czy dla wszystkich starczy?

Starczy, nie bójcie się,
To widać po minie,
Bo się oczy śmieją
Aż pani Janinie.

Kiedy po niemczyźnie
Nie będzie ni znaku,
Wtedy nasza armia
Ruszy do ataku.

Dowództwo należy
Się pani Janinie,
Ranga generała
Pewnie jej nie minie.

Adiutanta także
Czeka piękna sława,
Niech się więc szykuje
I pani Czesława.

Umundurowane,
Wznoszące okrzyki
Pójdziemy zdobywać
Serca Ameryki.

Inwokacja

Polsko! Ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie!
Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto Cię stracił.
Dziś ciężkim butem srogiego najeźdźcy przygniatana,
Zdawać by się mogło, że przez wszystkich zapomniana
Nie wrócisz więcej. O nie, my wierzymy najgoręcej,
Że Polska musi być, że Polska zmartwychwstanie.

I słynać będzie jak za Chrobrych i Jagiellonów,
I po wsze czasy zostanie wyzwolona z orła czarnego
szponów.

Polsko! Staniesz się sławna, hen za granicą,
A okręt Twój zarzuci o brzegi wszystkich mórz kotwicę.
I popłynie o Tobie pieśń nieprzerwana,
Bo na wieki zostaniesz wielką i potężną, Ojczyzno
kochana!

I znów powtórzy się dzień wolności, dzień 11-ego listopada,
I znów zabłyśnie w słońcu polska, ułańska szpada.
Żaden najeźdźca już się więcej nie poważy
Stanać na polskiej ziemi i nie będzie nas bił po twarzy.
Bo w nas zrodzona wielka moc po twardej niewoli,
Chronić będzie granic i wejść nikomu nie pozwoli.
A hasło nasze niechaj rozbrzmiewa wszędzie,
Że Polska była, jest i będzie!

Ognisko – Zwodau

Już zapaliło się ognisko,
Dając nam dobrej wróżby znak,
Siedzimy wszystkie przy nim blisko
I w całym świecie siedzą tak.
Siedzą Polacy przy płomieniach,
Ciepły blask ognia skupia ich,
Wszystko, co złe, to szuka cienia,
Do światła dobro garnie się.
Zrodziła nas ta sama ziemia,
Pod jednym niebem siedzimy,
Te same gwiazdy w nocy cieniach
Zsyłają nam podobne sny.
Wszędzie w tej chwili ogień płonie,
Po całym świecie szerzy blask,
Czy w Ameryce, czy gdzieś w Polsce,
Czy tutaj w Zwodau pośród nas.

Ojcze nasz – Zwodau

Ojcze nasz, który jesteś w niebie i widzisz naszą dolę tułaczą, wejrzyj na swe dzieci i ukój łzy, co duszę tłoczą! Święć się imię Twoje, aż po wszystkie czasy, gdzie wygnani przemocą, prosimy w pokorze, zmiłuj się nad nami. Wszechmogący Boże! Bądź wola Twoja, prosimy ze łzami, że niedola, cierpienie i radość od Ciebie pochodzą. Ty nam wszystko dajesz wielki, mocny Boże, a ta wiara głęboka dolę naszą słodzi. Chleba naszego powszedniego nie poskap nam Panie, daj siłę do przetrwania, a dla duszy wiarę, że nie bez celu jest nasze zesłanie, i że cierpimy może za swe winy stare. I odpuść nam nasze winy powstałe ze słabości, gdy ból i rozpacz duszą włada. Niejedna, Panie, pod swym krzyżem pada. I nie wódź nas na pokuszenie, co nam gubi duszę, ale nas zbaw ode złego i daj szczęśliwy powrót do domu rodzinnego. Amen.

Referat wygłoszony na ognisku w Zwodau: Niemcy i ich przemiany strukturalne, społeczne i kulturalne od 1939 r. do 1945 r. włącznie

Będąc kiedyś w Niemczech, odniosłam wrażenie, że Niemcy to naród silny, zwarty, zorganizowany na wzorach pruskiej hakaty i uwielbianych krzyżackich przodków. Podczas wojny dochodziły nas co prawda słuchy o głębokich zmianach wewnętrznych, ale trudno było powiedzieć o tym coś konkretnego, wobec wolności prasy i cenzury. Toteż zgadują Państwo, z jakim zapałem i entuzjazmem przyjąłam zaproszenie rządu niemieckiego do odbycia krajoznawczej wycieczki po Niemczech Trzeciej Rzeszy. Zaproszenie było tak serdeczne, tak miłe i tak nagłe, że nie zdążywszy się nawet zorientować, już siedziałam w pociągu.

Nie potrzebuję chyba Państwu dodawać, z jakimi honorami nas wieziono, osobne wagony, osobna służba, specjalne menu. Drzwi otwierano i zamykano przed nami, podczas przesiadania zawsze byli obecni przemili gospodarze. Sami wybierali wagony, sami układali marszrutę. A tak jakoś umiejętnie dobierali trasę, że byłam i pod granicą francuską, i w wolnych Niemczech, w Bawarii, Turynii i w Sudetach. Złośliwi mogliby twierdzić, że mogłoby to być powodem pewnego chaosu, a to po prostu była chęć przekonania cudzoziemców, po pierwsze, o gościnności, po drugie, o tym, że naród niemiecki tak czysty, szczery w swych postępowaniach, tak brutalnie przez Polskę zmuszony do wojny, nie ma nic do ukrywania.

Toteż pewne spostrzeżenia, jakie odniosłam, jeżdżąc wzdłuż i wszerz po Niemczech, to zmiana języka ojczystego, tak zwanej Muttersprache z niemieckiego na rosyjski. Odbiję wszelkie zarzuty, zetrę w proch wszelkie dowody, będę do upadłego broniła swej tezy, bo dowiedziałam się o tym nie z książek, pism i gazet, które mogłyby być na usługach wrogiej propagandy, ale z własnego doświadczenia, które kłamstwem być nie może. A już bezapelacyjnie twierdę, że hymnem narodowym niemieckim jest bezspornie, z wielką pewnością „Katusza”. Czy w Linzu, czy w Bergen, czy w Hanowerze, czy w Berlinie, czy w wielu innych przemitych ośrodkach niemieckiej kultury, wszędzie słyszałam przemile dźwięki

„Katuszy”. Myliłby się jednak ten, kto pomyślałby, że już nikt w Niemczech nie używa dawnej mowy ojczystej. Są jeszcze nie-dobitki, które nią jako tako władają. Są to tak zwane „Aufzjerki”. Są to już twory szcztatkowe, przeznaczone na wymarcie i różnią się, że tak powiem, z punktu widzenia naturalistycznego, tylko upie-rzeniem. Aufzjerki noszą szaro-zielone mundury, a funkcje ich sprowadzają się głównie do pilnowania, mówiąc po niemiecku „ubornej”, czyli toalety, czyli klozetu. Funkcję tę, powiedziec moż-na, spełniają bez zarzutu, jakby były do tego stworzone. Poza tym nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że są to automaty nakręcone tylko na jedną płytę. Repertuar każdej z nich jest niezmiennie ten sam; „Ruhe”, „Mund zu”, „du, alte Kuh”, „du Schweinhund”, „du schwangere Wanze” itd.

Wracając do ogólnego wrażenia, jakie uczyniła na mnie Trzecia Rzesza, wrażenia, że tak powiem, z lotu ptaka, to w pierwszym rzędzie rzuca się w oczy wielka zmiana w miastach niemieckich. Straciły one swój utylitarny charakter i używając nowego terminu, można powiedzieć „zruinizowały się”. Dzięki temu straciły one swój utylitarny charakter i stały się frapujące jedynie dla turystyki, przypominając sobą malownicze ruiny greckie. Myślę, że turystyka po wojnie będzie jedynym dochodem Trzeciej Rzeszy. Któż bowiem odmówi sobie przyjemności widzenia takiego Berlina czy Hano-weru. Jakże malowniczo rysują się w świetle księżycy lub słońca te urocze ruiny. Tu widać smukłą sylwetkę komina, jako jedyną pozostałość po istniejącym niegdyś domu. Tam melancholijnie zwisa mały masyw pieca na zawrotnej wysokości, jakby się na-myślał, czy runąć w dół, czy jeszcze poczekać. Ówdzie z samotnej ściany patrzy ocalały „landszaft”. A te cudne szkielety domów, które pożar wyretuszował dymem i sadzą. Nie, doprawdy, trudno od-malować ten zachwyty malujący się na twarzach turystów i tę błogość przepelniającą serca. Gdy z biegiem czasu ruiny te zarosną trawą i zostaną oplecione bluszczem, widok będzie jeszcze pięk-niejszy i jeszcze sercu bliższy.

Nic więc dziwnego, że wobec tego życie kulturalne i umysłowe Niemiec przeniosło się do tak zwanych „Lagrów”. Rozrzucone ty-siącami po całych Niemczech, nadały im swoisty koloryt i charak-ter. Są to przemile, parterowe domki – pensjonaty zwane niesłusznie barakami, zwykle zielone i ukryte wśród zieleni. Umebłowanie skromne, ale ładne, zręczne i wygodne: trzypiętrowe łóżeczka, długie stoły, miłe zydunki, obliczone, mniej więcej, po jednym na 20 pensjonariuszek, stwarzają atmosferę domowego zacisza.

Tu koncentruje się życie kulturalne i umysłowe Niemiec. Tu rodzi się poezja i sztuka, tu tworzy się pieśń i teatr. We wszystkich utworach przebija się zwykle gorący afekt do gospodarzy, który znajduje wyraz w życzeniach do nich skierowanych „ach, pludry przeklęte, abyście z piekła nie wyjrżeli, aby was pokrećiło, aby was wymordowano do ostatniego”.

Nie bez wpływu na życie kulturalne pozostaje moda, która jest zawsze odzwierciedleniem współczesności. Moda męska nie uległa tak radykalnym przemianom. Ten odłam elegantów, którzy mieli możliwość zdobycia amerykańskich żurnali, ubiera się na wzór anglo-amerykański. Pozostali dżentelmeni nie mają zbyt ujednostajnionego ubioru. Jako wysoką cechę mają zwykle kolorowe lampasy z boku na spodniach lub tam, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Moda damska odznacza się większą różnorodnością. Najbardziej modne są pasy w kolorze szaro-granatowym, tak zwane „pasiaki”, noszone z wdziękiem przez sfery najbardziej arystokratyczne, zaproszone w pierwszym rządzie do Niemiec.

Potem, gdy już fabryki nie mogły nastarczyć zamówień dla napływających wciąż gości, przerzucono się na tak zwane „krzyże”. Te ostatnie są naszywane lub malowane. Naszywane są wyjątkowo eleganckie: na sukience zielonej – czerwony, na żółtej – niebieski, na materiałach w pasy – krzyże w kratki. Firma Ravensbrück przoduje w pomysłowości, elegancji i starannym wykończeniu. Spotyka się też często, zamiast krzyży, starannie namalowane K/L. Wygląda to bardzo efektownie i jest prawdopodobnie skrótem od „koliber”, bo rzeczywiście, piękne panie w tych swoich efektownych strojach i o smukłych kibiciach upodobią się do tych ślicznych i barwnych ptaków. Noszenie na sukniach tak zwanych inicjałów, popularnie zwanych kocami, jako narzutek wieczorowych, nie przyjęło się na większą skalę i było właściwie traktowane jako *demi-saison*, przy końcu zeszłego roku.

Jeżeli chodzi o obuwie, to moda lansuje kategorię buciki na drewnianych podeszwach, obkładane żółtą skórą. Jest to ładne i praktyczne, szczególnie zimą, gdy grube pokłady śniegu oblepiają podeszwy i piękne panie wyglądają jak na koturnach. Jeżeli chód ich nie jest wtedy elastyczny, to wina tylko ich wadliwej niezręczności. Do bucików nosi się zwykle gołe nogi w kolorze czerwonym. Pod koniec zimy lansowane były pończochy, ale zwykle jedna różna od drugiej lub złożone z kawałków. Broń Boże, aby były wełniane.

Co się tyczy bielizny, odznaczała się ona, tak jak i strój, niezwykłą wytwornością. Bardzo zgrabne koszulki z przeróżnych materiałów, począwszy od barchanu, a skończywszy na muślinie. Majteczki, jeśli nie w paski, to łączone z 3-4 kolorów. Kiedy w tak wytwornym negliżu sznur pięknych pań mknie nocą do toalety, tworzą niezapomniany widok, którego lepiej jednak nie oglądać.

Jeżeli chodzi o uczesanie, to bezsprzecznie najmodniejsze są gołe główki. Wygląda to niezwykle młodzieńczo i dodaje specjalnego wyrazu, szczególnie starszym twarzyczkom. Być może, że panom, którzy dłuższy czas nie widzieli swych żon i narzeczonych, moda ta wydawałaby się dziwna i może mieliby obawę, że geneza nowego uczesania pochodzi z domu wariatów. Wkrótce jednak, przekonawszy się o popularności nowego uczesania, na pewno zmieniliby zdanie. Panie, które nie zdołały, z tych czy innych powodów, hołdować ostatniej modzie, utrzymują swe włosy pod białą chusteczką. Moda wymaga wtedy, aby spod chusteczki nie było widać ani jednego włosa. Do sukni natomiast nosi się ozdoby metalowe w kształcie łyżki zatkniętej zwykle za dziurkę od guzika, a torebki nosi się wyłącznie w formie blaszanych misek.

Na zakończenie nie można pominąć milczeniem, że podczas całego okresu wojny Niemcy coraz bardziej nabierali zalet gościnności, przejmując je chciwie od Słowian. Nie była to przykra, krępująca gościnność jak np. u Rosjan, ale pełna umiaru i skuteczności. Nie dobierano ordynarnie pokarmów, ale skromne i „celowo” ułożone menu nie przeciążało żołądka ani kuchni. Najbardziej jednak gościnność niemiecka uwydatniała się w tym, że wszystkich cudzoziemców chcieli jak najdłużej przetrzymać u siebie. Odzwierciedla się w tym wybitnie przyjęta od Polaków, nasza szlachecka gościnność. Że nie odkręcali kół od pojazdów, żeby miłych gości zatrzymać jak najdłużej, to tylko dlatego, że w Niemczech wszystkie koła toczyły się do zwycięstwa, jak to można było czytać na wszystkich dworcach.

Pasiaki – Majdanek

Wyniosła postawa, pasiasty nasz strój,
Na nogach okropne chodaki,
To bracia i siostry, to mąż może twój,
Pasiaki, pasiaki, pasiaki.

Od świata kolczasty odgradza nas drut,
I posty, i rowy, i bramy,
Lecz wkrótce wolności dopełni się cud,
Tej chwili z tęsknotą czekamy.

Dziś wielkiej nauki wszak nadszedł już czas,
Że dola dla wszystkich jednaka,
Niech żadne niechęci nie dzielą tu nas,
My wszystkie więźniarki w pasiakach.

Wesoły na Majdanku dzień

Wesoły na Majdanku dzień,
Na wolność ktoś wychodzi,
Więc na bok wszelki smutku cień,
Niech radość życie słodzi.

My pozostałe cieszymy się,
Niedługo świat zdobędziem,
Bo im tam więcej, a tu mniej,
Tym prędzej wolne będziem.

O, żegnaj ty, co wracasz znów
Do dawnych swych szeregów,
Żegnamy cię bez pustych słów
Piosenką pierwszą z brzegu.

My pozostałe cieszymy się itd.
Prześlij zza drutów jeszcze raz
Ostatni znak miłości,
A my wykrzyknem wszystkie wraz,
Trzymaj się na wolności.

My pozostałe cieszymy się itd.

Pasiaczko – Majdanek

Pasiaczko, czy ci nie żal,
Porzucić miasto rodzone,
Odjeżdżać w nieznana dal,
Bydłęcym, ciemnym wagonem.

Pasiaczko, czy ci nie żal
Odjeżdżać w nieznana dal.

Pasiaczko, czy ci nie żal
Porzucić swą miłą cełę.
Gestapo i „udziwienie”,
Wałówki, grypsy, apele.

Pasiaczko, czy ci nie żal...
Pasiaczko, jak tu się czujesz?
Czy barak dobrze szorujesz?
Czy wszy starannie wybierasz?
Na tyfus czy nie umierasz?

Pasiaczko, czy ci nie żal...
Pasiaczko, czy ci nie żal,
Błotnisty rzucać Majdanek,
„Kibelek” w gwiazdzistą noc
I apel w zimny poranek?

Pasiaczko, czy ci nie żal...

Zamek

Dumni, zawzięci siedzimy za kratą,
Nie złamie serc naszych czas.
Śmiać się będziemy pod świstem ich batów,
Nic nie zwycięży już nas.
 Bo nasza sprawa jest wielka i święta,
 Jutrem wolności się skrzy.
 Choć ten los okrutny w kajdany nas pęta,
 Przyszłość narodu to my.
My, co w więziennych domach szarych,
Z dumnym uśmiechem przez łyzy
Biało-czerwone wyniesiem sztandary
Utkane z męki i krwi.

Gdy obóz ujrzałam – Majdanek

Gdy obóz ujrzałam,
Zapału nie miałam,
Każda z nas to zna.
Mijają miesiące
Ja siedzę bez końca
I wciąż wojna trwa.

 Dziś nastrój mam lepszy,
 To winne powietrze
 I ten piękny czas.
 Niech słabi łąy leją
 My żyjmy nadzieją
 I śpiewajmy wraz:

Po miesiącu pierwszym masz się lepiej,
Po miesiącu drugim humor masz,
A po trzecim wołasz „obóz krzepi”,
A po czwartym jeszcze trwasz.

 Po miesiącu piątym wciąż się trzymasz,
 A po szóstym jeszcze nie jest źle,
 Tak przemija lato, jesień, zima,
 A ty wciąż wesoło śmiejesz się.

Wierzby – partyzantka

Rozszumiały się wierzby płaczące,
Rozpłakała się dziewczyna ma
I zwróciła swe oczy błyszczące,
Na żołnierza, na twardego jego los.
 Nie ślijcie wierzby nam,
 Żalu, co serce rwie,
 Nie płacz dziewczyno ma,
 Bo na wojence nie jest źle.
Czy to deszcz, czy słoneczna spiekota,
Zawsze słyhać miarowy, równy krok,
To maszeruje polska piechota,
Do góry wzrok, pogodna myśl, miarowy krok.
 Do tańca grają nam,
 Armaty, stali szczęk.
 Śmierć kosi niby łąn,
 Lecz my nie wiemy, co to lęk.
Czy to deszcz itd...

Choć biedy dwie – Oświęcim

Choć biedy dwie, nasza wszak młodość jest,

Nie martwmy się, oto życia jest treść.

Choć często źle i choć pusty mam trzos,

Nie wątpię, że wnet poprawię swój los.

Bo do nas młodych włóczęgów, cały należy szeroki
świat,

A każdy spotkany łązik, byle morowy, zawsze nam brat,

A więc adieu, w świat ruszamy dziś znów,

Szukajcie nas, tam gdzie zachodzi nów.

Nie wiemy dziś, gdzie rodzinny nasz dom,

Nie wolno nam dziś poddawać się łzom,

Choć często źle i choć pusty mam trzos,

Nie wątpię, że znów poprawię swój los.

W nieznany świat wypędzają dziś nas,

Choć smutne to, ale śmiejmy się wraz,

A więc adieu, w świat ruszamy dziś znów,

Szukajcie nas, tam gdzie zachodzi nów.

Marsz za druty – Oświęcim

O wschodzie słońca ruch pod bramami,
Nadchodzą władze i posty z psami,
Już się komanda szykują na aussen,
Zaraz ruszają – czekają draussen.

Codzienna farsa się rozpoczyna,
Jak ładnie wiję się dym z komina,
Jak fantazyjnie formują się chmury,
Już dziesiątkowe numery do góry.

I marsz jedną i drugą bramą,
Stare i młode i wciąż te same,
Wysokie, niskie, chude i grube,
Marsz trasą przed blok führerstube,
Przed każdą grupą idą aufzjerki,
Ludzie heftlingi, ludzie numerki,
Buty i trepy, trepy i buty,
Jak uroczyście idą za druty.

Do beznadziejnej, bez sensu pracy,
Czesi, Węgrzy, Włosi, Polacy.
Rowy wykopać, rowy zakopać,
Uwaga, za nami jest Europa.

Więc naprzód patrz i wstrzymaj dech,
I prosto chodź i nie bądź frech.
Jak chodzisz źle, to nogę zmień,
I przejdzie jeszcze jeden dzień.

I przejdzie jeszcze jeden rok,
Zaciśnij pięść i równaj krok.
To nic, że deszcz, to nic, że chłód,
Pokaż, że lekki jest twój chód.

Że już we krwi tę karność masz,
Odwrócisz się, dostaniesz w twarz,
Lecz nie płacz, nie, ani się skarż,
Maszeruj w ten tragiczny marsz.

Zdław każdą myśl i każdą chęć,
Wszystko po pięć, świat cały po pięć,
Muzyka ci wybija takt
Uświadom sobie zwykły fakt.

Że słyszysz wciąż ten głuchy dźwięk,
To bęben gra, opanuj lęk.
Oberka, patrz jak groźny sfinks,
Uważaj: links, links, links.

W Dachau, Auschwitz, Gusen, Mauthausen,
Wszystko za druty, wszystko na aussen,
Na wykończenie idzie się w pole,
Z jednej niedoli, w drugą niedolę.

Przez pola, łąki i krematoria,
Oto jest wasza wielka victoria.
Czy śnieg, czy błoto aż po kolana,
W błocie jest wasza wielka wygrana.

W naszym marzeniem przez długie lata,
Wozić transporty z całego świata,
I wmawiać już każdemu dziecku,
Że śmiać się może, lecz po niemiecku.

Lecz pamiętajcie, że miliony ludzi,
Co dzień się z jedną myślą budzi,
I maszerując w tej gromadzie,
Myśli o innej defiladzie.

A w duszy im radośnie śpiewa
Wizja przyszłości: lewa, lewa.
I przyjdzie znów nasz 3-ci Maj,
Wolności dzień, będziemy frei.

Miliony wdów i morze głów,
W takt naszej pieśni tej bez słów,
Bo za nasz ból, męczarni młyn
Musi przyjść czyn, i tylko czyn.

Nadejdzie dzień, że za ten marsz
Będziemy was, w szarży, bez szarż,
Bez serca rżnać, bez końca prac,
Muzyka też wam będzie grać.

Będziecie wyc, że macie dość,
A my na złość, a my na złość,
Za tyle ran i tyle krwi,
Wy zapłacicie i tylko wy.

Za tyle cierpień, tyle różg
W serce wam nóż, a kulę w mózg,
Za tyle mąk i tyle skarg
Sztylety w pierś, bagnety w kark.

Za tyle westchnień, żalu, łez
Niech każdy z was zdechnie jak pies,
Ażeby już odetchnął świat,
Zetrzemy po was wszelki ślad.
Na wielkim grobie stanie sfinks
I będzie krzyczał: links, links, links!

Pięć kominów – Oświęcim

Takie miejsce jest na świecie,
To nie bajka, ani sen,
W którym dzieje się, czy wiecie,
Dużo makabrycznych scen.

Pięć kominów dymi górą
Jak zaklęty, dziwny czar.
Z głębi bucha krwi purpura,
Niepojęty, groźny żar.

Lecz wyzwolenia przyjdzie dzień,
Radosny nas ogarnie szal,
Nie będziesz się już snuć jak cień
Po Lagerstrasse Birkenau.

Więc pasy zdejm i trepy zrzuć,
Zgoloną głowę w górę wznies.
Szczęśliwą bądź, do domu wróc,
Na ustach miej wolności pieśń.

Dosyć mamy już zugańców,
Dosyć „zulag”, dość „es-ka”,
Dosyć mamy Lagerruhe,
I orkiestry, co nam gra.

Zegnaj straszny Oświęcimiu,
Ty potworne Birkenau,
W twych barakach pustych w zimie
Wiatr żałośnie będzie grał.

Lecz wyzwolenia przyjdzie dzień,
Radosny nas ogarnie szal,
Nie będziesz się już snuć jak cień
Po Lagerstrasse Birkenau.

Więc pasy zdejm i trepy zrzuć,
Zgoloną głowę w górę wznies.
Szczęśliwą bądź, do domu wróc,
Na ustach miej wolności pieśń.

Czasem wspomnisz mile koję,
Jak to każdy mógł cię bić,
Jak staczałaś wielkie boje,
By się raz na miesiąc myć

I jak stałaś na apelu
Dławiąc w gardle gorzkie łzy,
Lagerkapo i gestapo
Przeszły jak nieznośne sny.
Lecz wyzwolenia przyjdzie dzień
Radosny nas ogarnie szal,
Nie będziesz się już snuć jak cień
Po Lagerstrasse Birkenau.

Nie płacz, mamó

Nie płacz, mamó, nie róń łez,
Choć czuje serce gorące
Katuszy sińce, biczków śpiew
Więzień, obozów długie miesiące.
Skrzępłą na ścianach widzisz krew,
To – nie łkaj, mamó, nie róń łez.
 Ja przyjdę, stuknę do Twych drzwi,
 Cichutko je otworzę
 I tak, jak często Ci się śni,
 Całus na dłoni złożę.
Przyjdę! Choćby przez zgryzot stos,
Przez cierpień piekło, męki,
Choćby mi szkodził wrogi los –
Przetrzynam te męki.
 ... A... gdyby płomień życia szczeł
 I spłonął jak tysiące...
 Ty nie rozpaczaj, nie lej łez.
 Przyjdę, gdy zaśnie słońce...
W noc jasną stuknę do Twych drzwi
I – choć ich nie otworzę,
To tak, jak czasem Ci się śni –
Całus na czole złożę...
 Ty – nie przeklinaj, pomódl się,
 Gdy zniknę nim wzejdzie słońce...

B. Najniger

Droga Krzyżowa

Klap, klap, szur, szur, klap, klap.
Równaj szeregi „Vorwärts Trab!”
Idą, szur, klap, noga za nogą –
Ciężko się wloką, co iść już nie mogą.
Idź, idź, wszystko rzuć, nawet chleb,
Jak zostaniesz w tyle, kulą w łeb!
 Szur, szur, klap, klap, szur, szur,
 Idzie szosą nieskończony sznur,
 Idą młodzi i silni i starcy, kaleki –
 Cały tydzień idą, czy całe wieki?
 Noga rąbie o ziemię jak cep,
 Klap, klap, bo inaczej kulą w łeb!
Idź, idź, bo cię Niemiec kolbą trąci,
Idą, idą, a w głowach się mąci,
Na piasku znaczą się krwawe ślady,
Towarzysz się słania, drżący i blady –
Idź, nie patrz! Czy droga, czy step,
Idź, naprzód, bo kulą w łeb!

Dr Halina Szuman

(Na transporcie więźniów 1945 r., Oświęcim)

Piekło

Byłaby Boska Komedia
Dziełem nader sensacyjnym,
Gdyby Dante zamiast w piekle
Był w obozie koncentracyjnym.

Dr *Halina Szuman*, Oświęcim 1944 r.

Jak Ty, Chryste

I ja byłem z szat odarty i opluwany,
Przez fałszywych sędziów o winy pytany.
I nade mną niemiecki Piłat umył ręce,
Że Żyd lub Ukrainiec był winien mej męce.
I ja jak pod krzyżem pod „szipą” padałem,
Kopnięciem cucony, na nowo wstawałem.
Tylko ja tysiące razy odbyłem Golgotę,
Pędzony, jak Ty, Chryste, przez mściwą hołotę.
Spójrz, Panie, na me ciało umęczone –
Nawet wszy mi wygryzły cierniową koronę...

Dr *Halina Szuman*, Oświęcim 1944 r.

Pytania dziecka

O mammo, czemu ciebie Niemcy zabrali,
Czy oni wiedzą, że są ludzie mali,
Którzy koniecznie potrzebują mamusi,
Że mama jest potrzebna, że mama być musi?
 O mammo, czemu oni nasz dom rozbili,
 I czemu moje łóżeczko spalili,
 To moje łóżeczko, czyściutkie, białe
 I konika mego, i krzeselko małe?
Czemu ja jestem u obcych ludzi,
Gdzie nikt nie pocałuje, gdy mnie rano budzi,
I nikt nie zapyta, czy chcę więcej mleczka?
O mammo, czy ty też nie masz łóżeczka?
 Czemu pani Anna, nasza sąsiadka,
 Tak często wzdycha: biedna twoja matka!
 Czy ty naprawdę przed świtem, o głodzie,
 W cienkiej sukience stać musisz na chłodzie?
Czy ci naprawdę posiwiały włosy?
A tatuś nasz – czy też chodzi bosy?
A może tatusia Germanie zabili,
Tak, jak wtedy, gdy cioci pieska zastrzelili...

Dr *Halina Szuman*

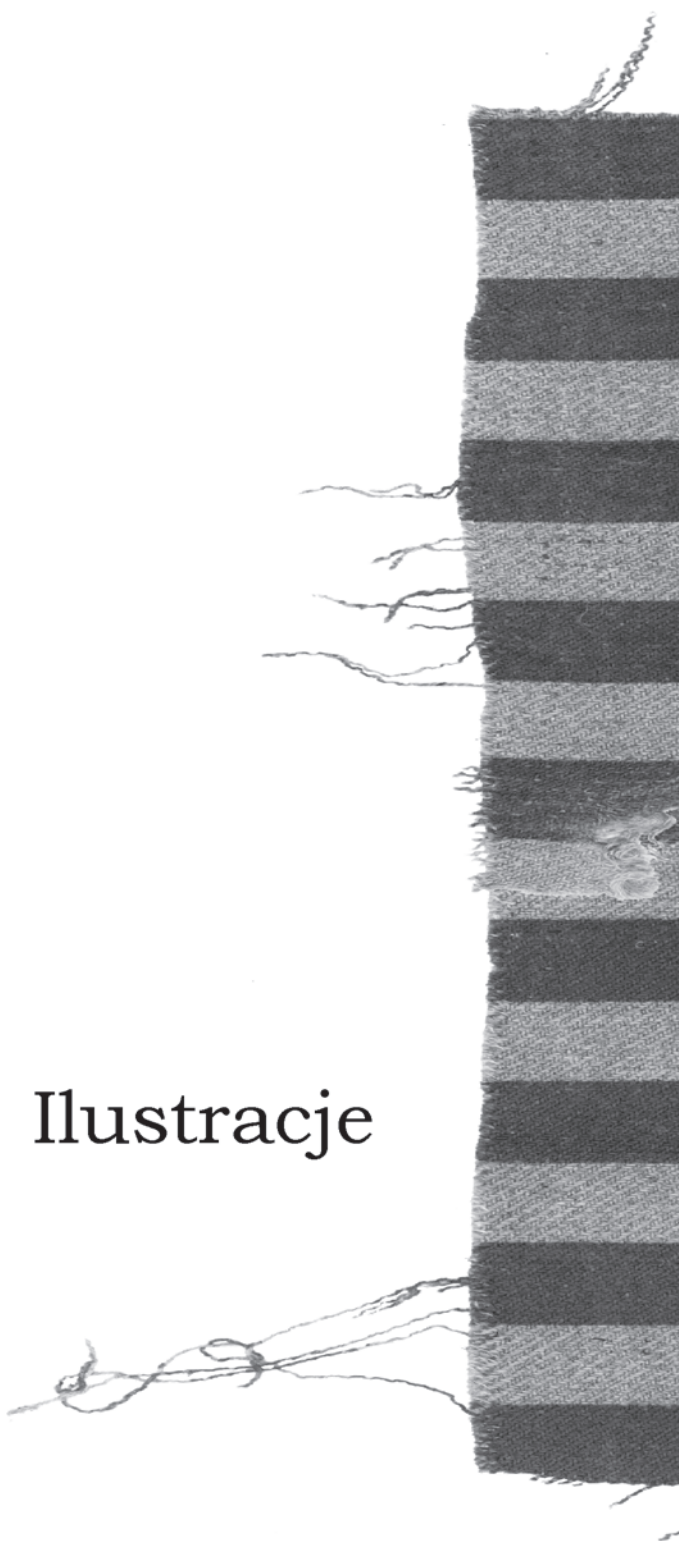
Uzupełnienie do Oświęcimia

Ogólnie mówiono w Oświęcimiu, że nasze aufzjerki i esesmani mają abażury na lampy robione z wyprawionej skóry zdjętej z wewnętrznej strony ud kobiecych. Ostrzyżone włosy też zbierano, podobno służyły do napełniania poduszek i jeszcze jakichś nieznanym nam celów.

Ze wszystkich obozów próbowano ucieczek. Uciekano w wozach ze śmieciami, w pustych zbiornikach wywożonych z obozu, robiono długie tunele-podkopy prowadzące za obszar obozu. Czasem ucieczki te udawały się, ale najczęściej łapano nieszczęśliwych zbiegów, bito ich, prowadzono przez wszystkie lagry z napisem na piersiach: „Ja, świnią, chciałem uciec z lagru”, potem zamykano nieszczęśnika w bunkrze i tam ginął śmiercią głodową. Częściej jednak wieszano skazańca na placu, na który spędzano wszystkich więźniów.

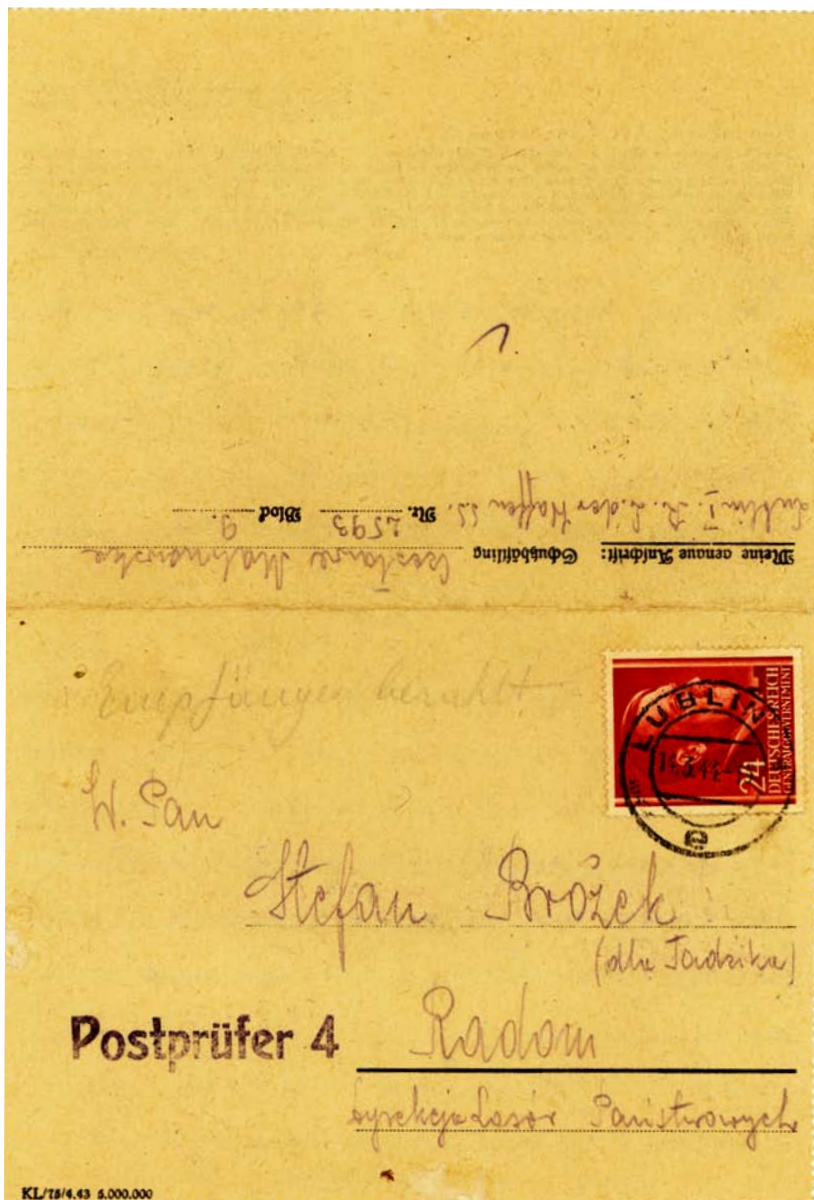
Czesława Malinowska

Ilustracije





1. Autorka wspomnień, fotografia z 1946 r.



2. List z Majdanka – strona adresowa i tylna

alle 30 Tage
Paketempfang
alle 30 Tage

Der Tag der Entlassung kann jetzt noch nicht angegeben werden. Besuche im Lager sind verboten. Anträge sind stöcklos.

Auszug aus der Lagerordnung

Jeder Häftling darf im Monat 2 Briefe oder Postkarten empfangen und absenden. Eingehende Briefe dürfen nicht mehr als 4 Seiten à 16 Zeilen enthalten und müssen übersichtlich und gut lesbar sein. Werbungen sind nur durch Postanweisung zulässig, deren Abschnitt nur Vor-, Zuname, Geburtstag, Häftlingsnummer trägt, jedoch keinerlei Mitteilungen, Geld, Fotos und Wlibereinlagen in Briefen sind verboten. Die Annahme von Werbungen, die den gestellten Anforderungen nicht entsprechen, wird verweigert. Unübersichtliche, schlecht lesbare Briefe werden vernichtet. Im Lager kann alles gekauft werden, Nationalsozialistische Zeitungen sind zugelassen, müssen aber vom Häftling selbst im Konzentrationslager bestellt werden. Lebensmittelpakete dürfen zu jeder Zeit und in jeder Menge empfangen werden.

Der Lagerkommandant

Rochamuj moj synesku! Saj mi enac corobi Lula.
Jestem zdrowo, i czuje się dobrze. Jedyną moją
troskę jest'scicie ty: ty i Andryjek. Chciałabym
i bardzo was prosić o to, abyście byli grzeczni i nie
mąpazawali kłopotów naszym opiekunom. Synku,
ucz się dobrze i sprawnij się dobrze. Pisz do Andryjka, aby
on chociż w ten sposób cała siebie przysłał. Opisz
mi o sobie i o Andryjku. Cechy jest z Jaskiem, doje
pracuje i pije do mnie. Le paczki druzkajs bardzo
i proszę o coś słodkiego, o jakiś kuchen, abba mam dość.
Podziękuj wujkowi furkowi za paczki i ciocie Loncie.
Jednak cioci mi więcej nie przysyła, bo sama ma nie dość.
Ja proszę o trochę słodkiego i kawałek miśca, moie
wujek furka mógłby mi to wysłać. Poproś ciocię Mela
o mydło i pastę dla mnie. Pisz do mnie Synku i pamiętaj
o braciach. Ciepły Cibie Andryjka, Liovie, Kujkowi i Andryjku
Iwoje. Iwoje bardzo bykchajszce Matka.

3. List z Majdanka do starszego syna.

Wymieniony w nim Lula to mąż będący w Wielkiej Brytanii, natomiast Jasiak – to szwagier przebywający także na Majdanku

KONZENTRATIONSLAGER

WAFFEN // **LUBLIN**

Obóz Koncentracyjny - ██████████

Dnia 12. II. 1944

Postprüfer 1

Paczkę w dniu 12. II. 1944 Nr. —

otrzymałem. Dziękując za przesyłkę, proszę o stosowanie się do przepisów, dotyczących dozwolonej zawartości paczek jako też solidnego opakowania.

Jestem zdrow — ~~chory~~.*)

Serdeczne pozdrowienia przesyła

Cech

*) Niepotrzebne — skreślić.

4. Majdanek – potwierdzenie otrzymania paczki

Absender:

Meine Anschrift: Łódź, Kłopot 5

Name: Włodzisław Górecki

geboren am: 28. III. 1901

Gef.-Nr. 11350 Łódź, Kłopot 5

Konzentrationslager Auschwitz

Folgende Anordnungen sind beim Schriftverkehr mit Häftlingen zu beachten:

1. Jeder Schutzhäftling darf im Monat zwei Briefe oder zwei Karten von seinen Angehörigen empfangen und an sie absenden. Briefe an die Häftlinge müssen lesbar mit Tinte, einseitig und auf einer Seite geschrieben sein. Gestattet sind nur Briefbogen in normaler Größe. Briefumschläge sind gestattet. Einem Briefe dürfen nur 5 Briefmarken à 2 Pf. der Deutschen Reichspost beigelegt werden. Alles andere ist verboten und unterliegt der Beschlagnahme. Lichtbilder dürfen auf Postkarten nicht verwendet werden.
2. Geldsendungen sind nur durch Postanweisungen gestattet. Es ist darauf zu achten, daß bei Geld- oder Postsendungen die genaue Anschrift, bestehend aus Name, Geburtsdatum und Nr. angegeben ist. Bei fehlerhaften Anschriften geht die Post an den Absender zurück oder wird vernichtet.
3. Zeitungen sind gestattet, dürfen aber nur durch die Poststelle des K.L. Auschwitz bestellt werden.
4. Die Häftlinge dürfen Lebensmittelpakete empfangen, Flüssigkeiten und Medikamente sind jedoch nicht gestattet.
5. Gesuche an die Lagerleitung zwecks Entlassung aus der Schutzhaft sind zwecklos.
6. Sprecherlaubnis und Besuche von Häftlingen im Lager sind grundsätzlich nicht gestattet.

Der Lagerkommandant,



Am Herrn
Jadewicz Malinowski

Radom
Tejko Staje 51.

5. List z Oświęcimia – strona adresowa i tylna

Auschwitz, den 12. V. 44.

Mein lieber Löhrchen! Endlich kann
ich es dir schreiben. Ich bin immer
gesund und fühle mich gut. Ich
bin nur neugierig was machst du und
Budnejk, ob seit ihr gesund? Seine
letzten Briefe habe ich in Ob. bekommen,
die haben mir eine große Freude gemacht.
Budnejk schreib mir, leider gar nicht, wenn
schicke ihm meine Adresse, ich warte auf einen
Brief von ihm. Du mußt auch öfters zu mir
schreiben, und alles was mich interessieren
kann. Das versprochene Paket von dir
habe ich nicht bekommen, hast du kein
Gold mehr? Von Ankele Tadek habe ich

6. List z Oświęcimia do starszego syna z 12 maja 1944 roku

bis jetzt nicht bekommen, Paula Lonia muss
einmal zu mir schreiben. Tadrin schicke
mir Zucker, Fett und etwas Fleisch. Du kannst
mir jede Woche ein Paket schicken. Von
Onkel hole ich schon längst kein Paket
mehr. Tadrin sei fleißig, lerne gut
und mache deinen Vornamen keine Sorgen.
Für Paula Lonia schicke ich alles Beste zum
Damenstagen. Was macht Lulu, schreibe mir
etwas von ihm. Von Onkel Josi hole ich einen
Brief von Altes bekommen und von Onkel Bogdan
von Karelance ein Paket, schreibe das dem Onkel.
Ich küsse dich herzlich und Gudrejts und
alle Verwandte, schreibe zu mir. Ich habe
eine Leihkinde keine Mutter.

empfangen
Aufschieben

Auschwitz, den 16. VI. 44.

Mein lieber Löbchen! Deinen lieben Brief
von 24. V. habe ich erhalten. Ich bin sehr zufrieden,
dass Du gesund bist und gehst in die Schule. Es wird
bald die Ferien sein und Schluss mit der Schule. Du
musst mir keine Noten schreiben, weil ich neugierig
bin. Du darfst nicht mehr in die Volksschule gehen
sondern in die Mittelschule. Du hast mir nichts von Antje
Tadek u. Jasia geschrieben und von der Tante Lusia. Ein
Sackel von Dir und von Basia habe ich bekommen.
Nur von Hymeczek habe ich gar nichts. Warum schreibt
er nicht? Ich bin sehr unruhig was mit ihm ist. Schick
zu mir öfters und meine Geschwister soll auch etwas
von ihr hören lassen. Ich warte immer auf einen Brief
von Euch. Schicke meine Adresse zum Luba und

7. List z Oświęcimia do starszego syna z 16 czerwca 1944 roku

zum Onkel Linecuty nach Tanaka 4. Grüsse auch
Irene Helen, die Lehrerin von Indneich Host du den grünen
Nunz von Schneiders genommen. Ich danke dir und Papa
für die Sackete und für den guten Kuchen, und ich warte auf
eines neues und Kuchen, weil ich habe sehr gern die
süßen Sachen (Marmelade) und du weisst wie ich sehr oft
im Munde hatte. Ich bin gesund und will von Euch
dasselbe wissen. Es war nicht gut, dass du hast das
ganzes Geld bei der Grossmutter gelassen. Schreibe mir
halt Ihr von zu Hause bekommen. Die Tante Minka
soll mir schreiben wie benehmt sie sich und wie lieb
du zu ihr gekommen, denn ich das wissen soll. Ich
will schnell die Nachrichten von Euch haben. Bleibt
Ihr gesund denkt an mich. Ich küsse Euch alle sehr
herzlich. Seine Mithi

Depot
5
Kuchent

Auschwitz, den 14. VII. 44.

Mein geliebter Löhrchen! Ich habe sehr lange
auf einen Brief von dir gewartet. Heute habe ich
schon zu dir geschrieben und dann kam dein
lieber Brieflein von 13. VII. Ich freue mich, dass du so gut
deutsch schreiben kannst. Das zweite Päckel von dir
habe ich erhalten, aber von Andzejek gar nichts.
Ich mache mir viele Sorgen über ihn, wenn er schreibt
nicht, ist er nicht krank? Schreibe mir alles. Ich
freue mich dass du demest gut und dass du wirst in
die Mittelschule gehen. Ich will aber wissen wie lange
Andzejek und ob er schon in der IV Klasse ist. Ich bin
sehr zufrieden, dass du mit Andzejek die Ferien
verbringen wirst. Wenn du in Lublin wirst, du musst
mir einen Brief mit Andzejek zusammen schreiben

8. List z Oświęcimia do starszego syna z 14 lipca 1944 roku

Su host mir aber nicht geschrieben wann Lu
zu Euch kommt. Der Tante Mimi bin ich sehr
dankbar, dass sie sich bei ihr haben wollte. Ihr
Brief hat mir eine große Freude gemacht.
Tadriku, Su musst artig sein und alles der Tante
helfen und machen, Su kennst, ja alles zu Hause
machen. Merke dies immer, dass die Tante zu viel
Arbeit hat und dass Su ihr nicht hören sollst.
Schreibe mir noch was macht Bysia, Helina, Kora
Karscha und die Familie von Lublin. Wenn Su
in Lublin wirst, küsse von mir die Grossmutter und
alle Tanten und Onkeln und den kleinen Bogtuo. Ich
küsse dich, Indryjka, Tante Mimi, Stef und Olga. Sei
sehr herzlich und warte auf einen Brief von Euch alle.
Sei Ihr gesund und schreibe 2x monatlich
Ihre Mutts.

Liebes Multi!

Radom, den 10. VII. 1914.

Deinen lieben Brief vom 16. V. 14 habe ich erhalten. Ich freue mich sehr daß Du mein Päckchen von mir und Basia erhalten hast. In kurzer Zeit wirst Du wahrscheinlich auch von Andrej ein Päckchen erhalten, dem ich habe ihm Deine Adresse gesandt. Ich habe schon aus Radom 2 Päckchen gesandt. Hast Du auch das zweite schon erhalten? In kurzer Zeit senden wir wieder ein Päckchen. Den grünen Anzug habe ich schon im Winter erhalten. Ich bin schon seit 17. XII. 13 in Radom. Onkel Stefan hat mich nach Radom genommen. Die Schule habe ich beendet und im Herbst werde ich in die Mittelschule gehen. In einigen Tagen soll ich nach Lublin fahren und mit Andrej die Ferien verbringen. Deine Adresse werde ich Lula nicht schicken, da er wahrscheinlich in kurzer Zeit zu uns kommt und dann werden wir ihm Deine Adresse mündlich geben. Gerade erhielt ich einen Brief von Andrej und er schrieb mir, daß er einen Brief und ein Packet an Dich abgesandt hat. Er ist in Dzyń, wohin auch ich fahren soll.

Ich küsse Dich recht herzlich und
wünsche Dir alles Gute zu Deinem Namenstage. Tadek.

Liebe Ceka,

Deinem Wunsch gemäß, lasse auch ich etwas von mir hören. Am meisten wird es Dich interessieren wenn ich dir einiges über Tadek schreibe. Er ist artig und lernt gut. Er muß aber auch arbeiten. Ich habe jetzt kein Mädchen und muß ins Büro gehen. Dann habe ich noch meine Stunden, also genug Arbeit. Alle drei Kinder müssen also täglich die Wohnung zusammenräumen. Bei der Großmutter hätte er es wahrscheinlich besser, aber was wir tun können, das machen wir gerne für ihn, obwohl die Verhältnisse jetzt sehr schwer sind.
Wir grüßen und küssen dich herzlich
Tadek

9. List do matki w Oświęcimiu od starszego syna;
w dole dopisek jego ciotki



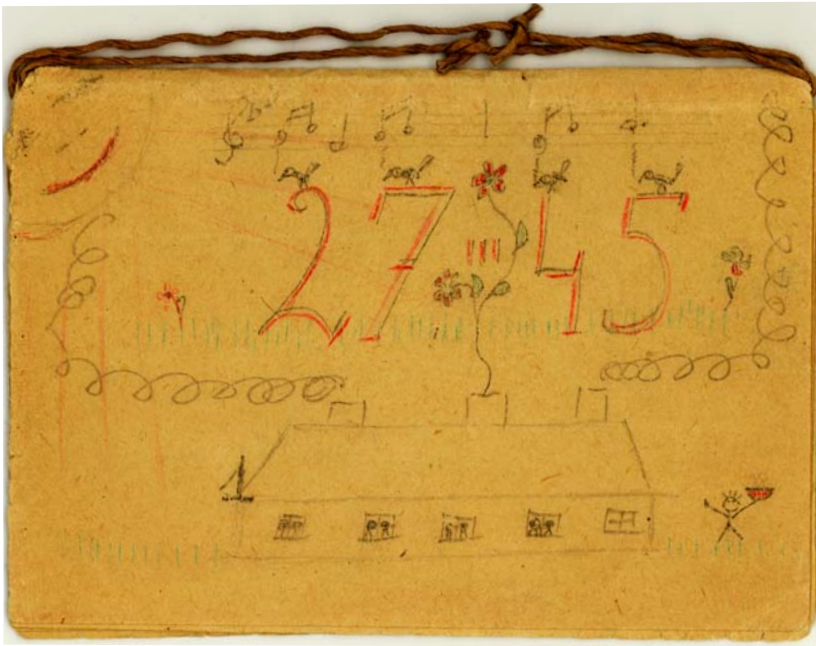
10. Naszywka na odzież i wkiel noszone przez autorkę wspomnień w Zwodau



11. List z Zwodau – strona adresowa i tylna



13. Bony premiowe obozu koncentracyjnego we Flossenbürgu, używane także w jego podobozach w Neu Rohlau oraz Zwodau



14. Okładka wiersza urodzinowego napisanego przez Jazkę

Affectueux
 Ep. Laine Jovan.
 8 rue St Sordani.
 Paris 1^{er}
 Toute ma sympathie
 à notre aimable et
 douce infirmière
 Madame Leguet
 141 Rue de Boissieu
 (Lyon)

15.

Avec toute la
 sympathie d'une
 Hongroise.
 Mairiett Lanchy
 32 rue de la Harpe
 Calvados Talain

Mme Souver, une poignée
 affectueuse du cœur bibou
 à la petite et douce
 infirmière qui portera
 notre espoir et notre attente.
 Margie Paris
 85 rue de la Convention
 Paris 15^e

16.

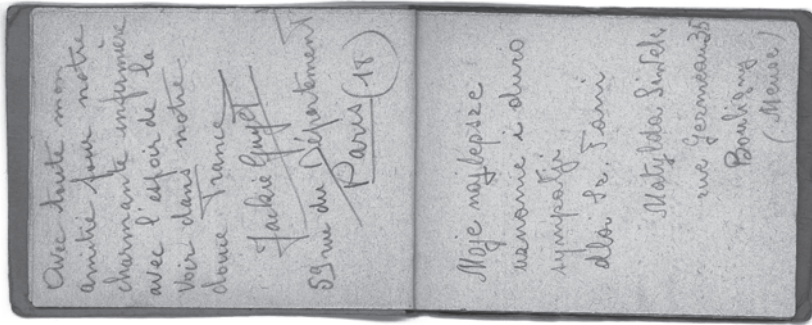
Avec toute ma
 sympathie et de
 mes ~~très~~ vœux
 Mairiett Lanchy
 32 rue de la Harpe
 Paris

En toute sympathie
 Mairiett Leguet
 141 rue de Boissieu
 Calvados

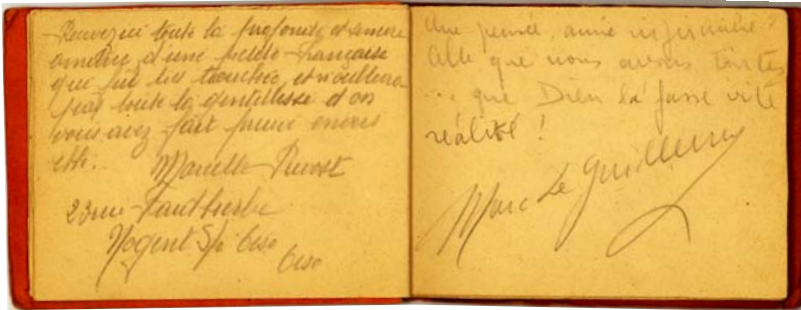
Avec toute ma
 sympathie et de mes
 vœux
 Mairiett Lanchy
 32 rue de la Harpe
 Paris

17.

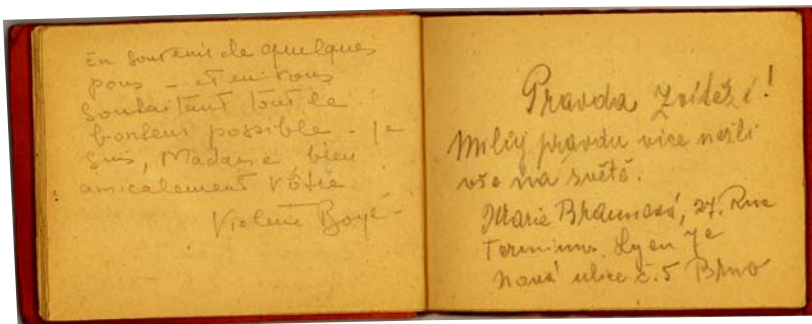
15-17. Wpisy współwięźniarek z Zwodau
 w pamiętniku autorki wspomnień



18.

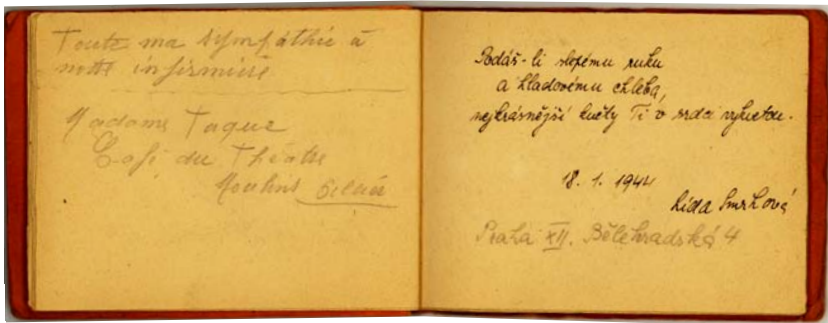


19.



20.

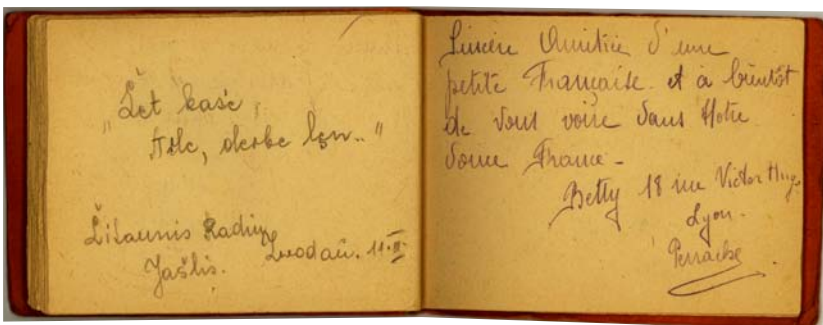
18-20. Wpisy współwięźniarek z Zwodau
 w pamiętniku autorki wspomnień



24.

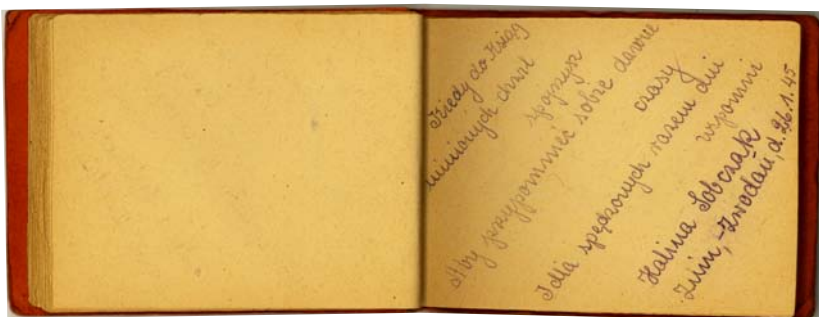


25.

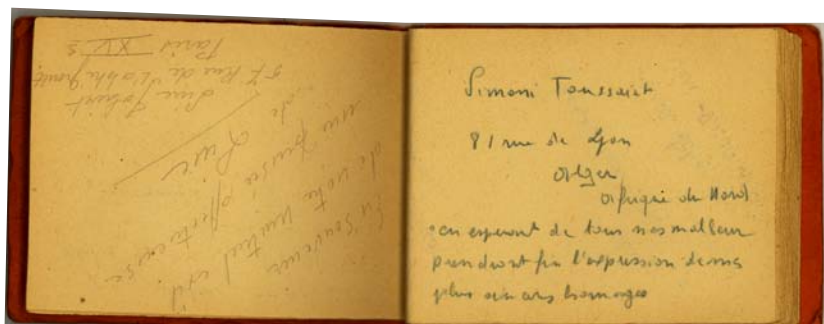


26.

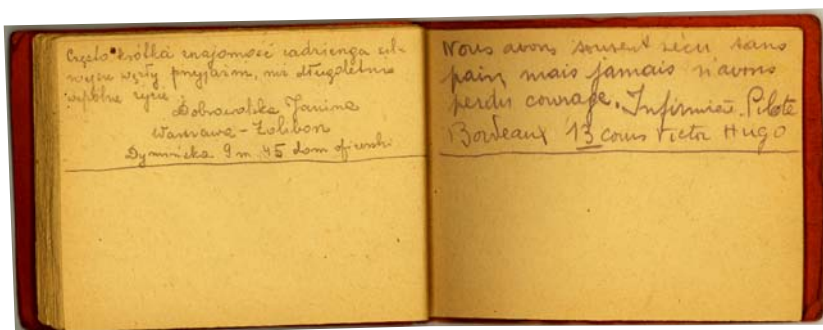
24-26. Wpisy współwięźniarek z Zwodau
 w pamiętniku autorki wspomnień



27.

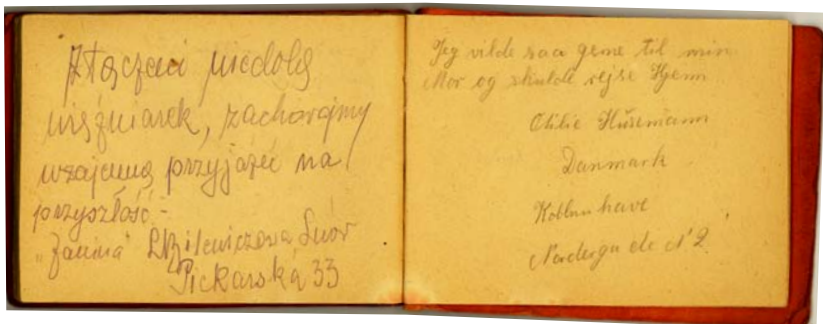


28.

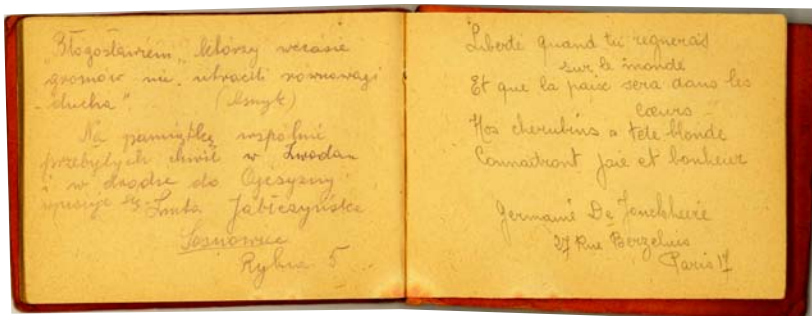


29.

27-29. Wpisy współwięźniarek z Zwodau
w pamiętniku autorki wspomnień



30.



31.

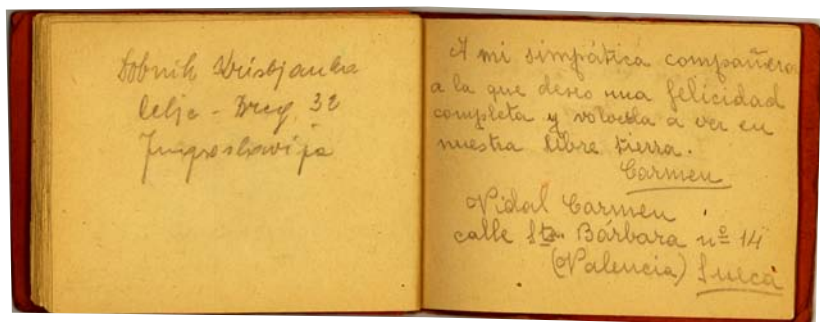


32.

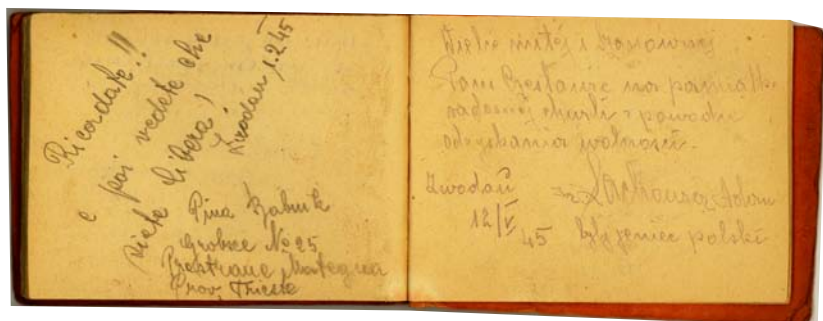
30-32. Wpisy współwięźniarek z Zwodau
 w pamiętniku autorki wspomnień



33. Rysunek Kristjanki Dobnik, współwięźniarki z Zwodau, w pamiętniku autorki wspomnień



34. Wpisy współwięźniarek z Zwodau w pamiętniku autorki wspomnień – z lewej strony Kristjanki Dobnik, której rysunek widnieje na ilustracji nr 33



35. Wpis współwięźniarki z Zwodau oraz byłego jeńca polskiego

Drezno 31. V. 1945.

Rochamy miój Tadzik!

Jestem w drodze do domu, do Was.
Ciesz się bardzo, że już niedługo zobaczymy
ciebie i Twoją rodzinę. Was obydwoje
mam w sercu.

Celujcie się serdecznie, uciekajcie
i: Hujcie

Twoja
Matka.

P.S. Jedź do Kadernia.

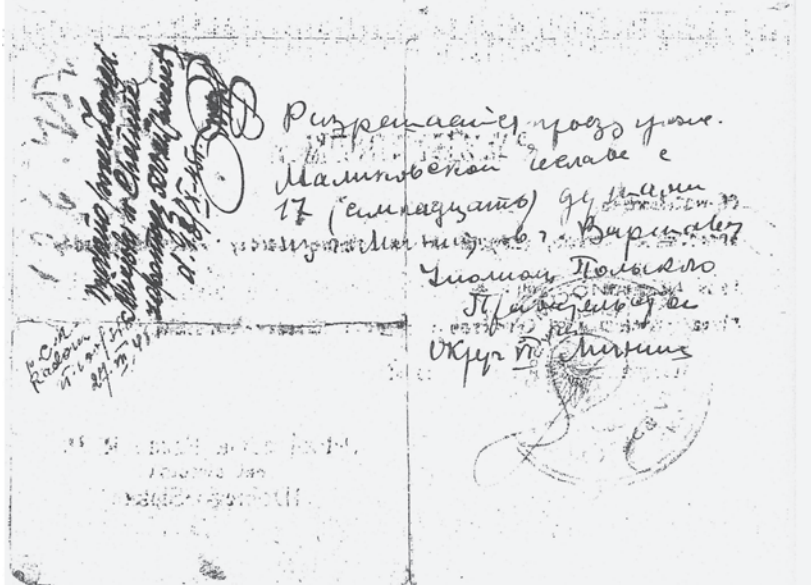
42. List wysłany z Drezna do starszego syna
w drodze powrotnej do Polski

PRZEPUSTKA

Obywatelowi(ce) Chłapowska Estera + 17 kobiet
narodowości polskiej zezwala się na odbycie podróży wszelkimi środ-
kami lokomocji z Lignicy do Warsawy
Wyżej wymieniony(a) powraca z pracy z Rzeszy Niemieckiej.

Lignica, dn. 5-7 1945 r.

Pełnomocnik Rządu R. P.
w obwodzie VI
Dolnego Śląska



43. Pozwolenie na przejazd autorki oraz siedemnastu innych kobiet na trasie z Legnicy (wówczas Lignicy) do Warszawy (błąd w dacie: winno być 6 VI)



COMITÉ INTERNATIONAL DE LA CROIX-ROUGE

SERVICE INTERNATIONAL DE RECHERCHES

3548 Arolsen (Waldeck) Allemagne

INTERNATIONAL TRACING SERVICE

3548 Arolsen (Waldeck) Germany

INTERNATIONALER SUCHDIENST

3548 Arolsen (Waldeck) Deutschland

Téléphone: Arolsen 434 - Télégrammes: ITS Arolsen

DOKUMENTEN-AUSZUG
über Aufenthalt in ehemaligen
Konzentrations- und Arbeitslagern

EXTRAIT DE DOCUMENTS
sur le séjour dans les anciens camps
de concentration ou de travail

EXCERPT FROM DOCUMENTS
about the stay in former concentra-
tion or labour camps

Ihr Akt.-Z.
Votre Réf.
Your Ref.

Unser Akt.-Z.
Notre Réf.
Our Ref.

T/D 622 259

Name
Nom
Name MALINOWSKA ----- Vornamen
Prénoms
First names Czeslawa ----- Staatsangehörigkeit
Nationalité
Nationality polnisch -----
Geburtsdatum
Date de naissance
Date of birth 28.3.1907 ----- Geburtsort
Lieu de naissance
Place of birth Skarzynsko-Ka-
mienna ----- Beruf
Profession
Profession Lehrerin -----
Namen der Eltern
Noms des parents
Parents' names nicht angeführt ----- Religion römisch-katholisch
Zuletzt bekannter ständiger Wohnsitz
Dernière adresse connue
Last permanent residence nicht angeführt -----
Verhaftet am
Arrêté le
Arrested on nicht angeführt in
à nicht angeführt durch
par nicht angeführt --
wurde eingeliefert in das Konz.-Lager
est entré au camp de concentration
entered concentration camp Lublin ----- Haftlingsnummer
No. de détenu
Prisoner's No. nicht angeführt
am
le 4. Februar 1944 ----- von
venant de
coming from K.d.Sipo Lublin -----
Kategorie, oder Grund für die Inhaftierung
Catégorie, ou raison donnée pour l'incarcération
Category or reason given for incarceration "Z.A." (*Zivilarbeiterin), "pol." (*politisch),
"Sch.H." (*Schutzhaft) -----
Überstellt
Transféré
Transferred am 14. April 1944 zum KL-Auschwitz. Eine weitere Überstellung ist
nicht angeführt. Sie wurde am 21./22. November 1944 vom KL-Ravens-
brück in das KL-Flossenbürg/Kdo. Neurohau, Häftl.-Nr. 58295 (frü-
here Häftl.-Nr. 73336) eingeliefert. -----
Letzte Eintragung in KZ-Unterlagen
Dernière inscription dans la documentation
Last information in C.C. records Am 20. Dezember 1944 war sie im KL-Flossenbürg/
Kdo. Zwodau. -----

Bemerkungen
Remarques
Remarks Die Haftlingsnummer 77350 erscheint nicht in den hier vorliegen-
den unvollständigen Unterlagen des KL-Auschwitz. -----

Geprüfte Unterlagen
Documents consultés
Records consulted Zwei Haftlingspersonalkarten, Effektenkarte, Nummernbuch,
Transportliste und Haftlingsliste des KL-Flossenbürg. -----

Arolsen, den 14. Februar 1964

Im Auftrag:

Abgesandt an
Expédié à
Dispatched to

Frau
Czeslawa Malinowska
Gorzow/Wlkp.
Stilonowa 10-2
P o l e n

G. Fehrer
Section des Archives



Der ITS übernimmt für die Richtigkeit und Vollständigkeit des Inhalts der Dokumente, die zur Ausstellung dieses Dokumenten-

Ausganges verwendet wurden, keine Gewähr.

* Erklärung des I.S.D., erscheint nicht in den Originalunterlagen.

* Explication fournie par le S.I.R. mais ne figurent pas sur les documents originaux.

* Added by the I.S.D. as explanation, does not appear on the original documents.

44. Wyciąg z dokumentów przechowywanych w stacji badawczej Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Arolsen, dotyczących pobytu autorki wspomnień w obozach koncentracyjnych

O autorce wspomnień

Nasza Mama, Czesława Malinowska (z domu Brożek), urodziła się 28 marca 1907 r. w Skarżysku-Kamiennej jako córka Antoniego Brożka i Stefanii (z domu Krakowińska). Świadectwo dojrzałości otrzymała w czerwcu 1928 r. w Gimnazjum Żeńskim Heleny Czarnieckiej w Lublinie. Następnie podjęła studia w zakresie romanistyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, rychło przerwane na skutek zawarcia w 1929 r. związku małżeńskiego z Czesławem Malinowskim, inżynierem elektromechaniki, absolwentem Instytutu Technicznego Uniwersytetu w Caen we Francji. Po ślubie, w 1931 r., oboje przenieśli się do Poznania, gdzie Ojciec uzyskał zatrudnienie w Okręgowej Izbie Kontroli. W Poznaniu urodzili się im synowie – w 1932 r. Tadeusz, a w 1934 r. Andrzej.

W sierpniu 1939 r., gdzieś na 10 dni lub tydzień przed wybuchem II wojny światowej, po zmobilizowaniu Ojca – podporucznika rezerwy 17 Wielkopolskiej Dywizji Piechoty – Mama wyjechała z dziećmi do rodziny w Lublinie. W październiku tegoż roku dołączył do niej Ojciec, który po przebyciu całego szlaku bojowego wymienionej dywizji, łącznie z walkami nad Bzurą i obroną Warszawy, nie poszedł do niewoli. Wkrótce jednak okazało się, że jest poszukiwany przez Niemców (do Magistratu w Lublinie wpłynęło pismo poznańskiego gestapo o podanie jego ad-

resu) i poprzez Słowację, Węgry, Jugosławię i Włochy wiosną 1940 r. dotarł do polskich oddziałów tworzonych we Francji. Natomiast Mama, aczkolwiek wspomagana przez rodzinę, podjęła pracę zarobkową w ekspedycji kolejowej w Lublinie. Praca ta umożliwiła jej udział w działalności konspiracyjnej – pośredniczenie w kontaktach kolejarzy związanych z Armią Krajową na terenach zabużańskich, m.in. w Równem i Kowlu. Był wśród nich, zresztą starszy już wiekiem, mężczyzna, którego wojna wypędziła z Białosłiwia w północnej części przedwojennego województwa poznańskiego. Ponadto pozyskiwała informacje odnoszące się do obozu koncentracyjnego na Majdanku, a to przez kontakty z pełniącymi tam służbę Litwinami. Właśnie jeden z nich zadenuncjował Mamę, co spowodowało jej aresztowanie. Stało się to 15 grudnia 1943 r., kiedy wczesnym rankiem do naszego lubelskiego mieszkania weszło trzech lub czterech cywilnych gestapowców. Rozpoczęli rewizję, co nie przeszkodziło Mamie wetknąć starszemu synowi do kieszeni kilku trefnych papierów. Po tej pierwszej rewizji kazali Mamie zaopatrzyć synów w nieco najpotrzebniejszych rzeczy osobistych i wyprawić do rodziny. W wyniku tego aresztowania Mamę zobaczyliśmy dopiero po wojnie, po jej pobycie na Zamku w Lublinie, Majdanku, w Oświęcimiu (Brzezince), Ravensbrück, Neu Rohlau i Zwodau. Starszym synem zaopiekowała się rodzina (Maria i Stefan Brożkowie) w Radomiu, młodszym – rodzina (Amelia i Edmund Madejczykowie) mieszkająca w Lublinie.

Po wojnie, po powrocie Mamy w pierwszej dekadzie czerwca 1945 r. z obozów, zamieszkaliśmy początkowo, do połowy 1947 r., w Chełmie, u jej siostry Zofii, której mąż – wymieniany we wspomnieniach Jasiiek (Jan Aftanas) po wywiezieniu z Majdanka zmarł w Dachau. Następnie przenieśliśmy się (po powrocie Ojca z Wielkiej Brytanii w początkach września 1947 r.) do Szczecina: tam Ojciec podjął pracę w Państwowej Fabryce Sztucznego Jedwabiu

nr 4, natomiast Mama od 1948 do 1950 r. prowadziła dla dorosłych kursy w zakresie szkół powszechnych, zorganizowane przy wymienionej fabryce.

Latem 1950 r. Rodzice przeprowadzili się do Gorzowa Wielkopolskiego, gdzie Ojciec pracował, aż do śmierci w listopadzie 1954 r., w Gorzowskich Zakładach Włókien Sztucznych, natomiast Mama już nie podjęła żadnego zatrudnienia. Po śmierci Ojca dosyć długo czekała na uznanie jej niezdolności do pracy na skutek przejść w niemieckich obozach koncentracyjnych, lecz w końcu, w 1960 r., rentę taką dostała. Postępujący wiek oraz pogarszający się stan zdrowia Mamy spowodował, że – po długich staraniach – w 1976 r. uzyskała mieszkanie w Poznaniu, gdzie zmarła 24 sierpnia 1980 r.

W związku z pobytem w niemieckich obozach koncentracyjnych Mama już 10 maja 1946 r. wstąpiła w Chełmie do Związku Byłych Więźniów Politycznych, który w 1949 r. wszedł w skład nowo powstałej organizacji pod nazwą Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Do ZBoWiD-u należała do końca swoich dni. Przez jakiś czas utrzymywała kontakt z lubelskim Klubem Byłych Więźniów Zamku i Gestapo w Lublinie, wysyłała też materiały – ankiety, wspomnienia – do Państwowego Muzeum na Majdanku oraz do Państwowego Muzeum w Oświęcimiu, które odwiedziła w lutym 1968 r. W maju tegoż roku była przesłuchiwana w charakterze świadka w sprawie obozu w Zwodau przez Prokuraturę Powiatową w Gorzowie Wielkopolskim. O jej relacje na temat Rosjanek więzionych w niemieckich obozach koncentracyjnych zwracały się organizacje kombatanckie z ówczesnego ZSRR, m.in. z Worneża.

Wreszcie w dwutygodniku „Stilon Gorzowski” (R. 18: 1975, nr 4 [292]) red. Mieczysław Miszkin opublikował obszerny artykuł pt. *Być człowiekiem...* poświęcony Mamie, w którym znaczna część – łącznie z tytułem! – odnosi

się do jej przeżyć w niemieckich obozach koncentracyjnych. Jakkolwiek Mama nigdy nie pracowała w Gorzowie Wielkopolskim, a Ojciec, dyrektor do spraw inwestycji „Stilonu” (taką nazwę przyjęły wspomniane Zakłady Włókien Sztucznych) nie żył już od dwudziestu lat, to jednak i utrzymująca się pamięć o nim, i spotkania Mamy z pracownikami w klubie fabrycznym, w trakcie których dzieliła się swymi wspomnieniami wojennymi, skłoniły red. Miszkina do napisania wymienionego artykułu właśnie dla czasopisma fabrycznego. Trzeba zresztą dorzucić, że Mama spotykała się również z młodzieżą szkolną, której analogiczną tematykę przybliżała na specjalnych lekcjach historii.

Jest sprawą oczywistą, że większość przyjaznych kontaktów ze współwięźniarkami uległa po wojnie zanikowi – każda z nich wróciła do swojej rodziny, choć nie zawsze już pełnej, do swoich spraw we własnym mieście i kraju. Przez jakiś czas korespondowała z Verą Franko, która chciała się wydostać z ZSRR – ale oczywiste, że Mama nie mogła jej w tym pomóc. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych utrzymywała kontakt z Mariją Kegę, odnalezioną przez starszego syna w Lublanie na podstawie jej przedwojennego adresu. Jednakże przez cały czas, od 1945 r. aż do śmierci, była w zażyłych stosunkach z Jaszka, owym dawnym „szmukszykiem” z Zwodau. Kilkakrotnie była u niej (czasem zresztą z synami) w Sopocie i Gdańsku-Oliwie, niejednokrotnie też Jaszka (nosząca po wojnie imię Janina i nazwisko – najpierw Gorzelańska, później Maciejewska), zajmująca się tłumaczeniami, pisanie humoresek, wierszy i rozmaitych opowiadań, opisywała przeżycia obozowe, wspominając Mamę, w wydawnictwach literackich i kombatanckich w Polsce i ZSRR. Jako przykład można wymienić „Tygodnik Kulturalny” (nr 31: 1962) z jej artykułem pt. *Nie zabijaj* oraz to samo czasopismo (nr 45: 1971) z fragmentem jej pamiętnika. Pi-

sze w nim m.in.: „Trzymałyśmy się w trójkę z młodziutką lwowianką Wierą Franko, krewną Iwana, i Czechą Malinowską, polską Niobe, którą los rozłączył z dziećmi, a podrzucił w zamian Wierę i mnie. Czecha z wielką czułością i poświęceniem matkowała nam, a dobroć jej przetrwała ogniowe próby hitlerowskiego piekła i poniewierki”.

Wypada jeszcze dorzucić, że przejścia wojenne, zwłaszcza obozowe, Mama głęboko przeżywała jeszcze w wiele lat po zakończeniu wojny. Mieszkając w Gorzowie Wielkopolskim, nie chciała wybrać się do pobliskich rejonów Niemiec, kiedy na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia umożliwiono takie wyjazdy. Raz udało się starszemu synowi namówić ją jednak do wyjazdu do Frankfurtu nad Odrą. Przeżywała mocno ów kilkugodzinny pobyt nasycony niemiecką mową, a zobaczywszy drogowskaz z napisem „do teatru”, zapytała: „A które do krematorium?” Przeżycia obozowe uzewnętrzniły się także przed Jej śmiercią. Ciężko chora, po przebytych wylewach, z zaburzoną świadomością, reagowała niekiedy tak, jak gdyby znajdowała się nadal w niemieckim obozie koncentracyjnym.

Andrzej Malinowski
Tadeusz Malinowski

Skorowidz osób

- Aftanas Jan (Jasiek) 20, 21, 121, 152
Aftanas Zofia 152
Baumann Hane 65
Białówna 39
Bielicka 37
Bilewiczowa patrz Charzewska Janina
Brożek Antoni 151
Brożek Maria 152
Brożek Stefan 152
Brożek Stefania 151
Brudkowska Ada 22, 39, 40
Brukało Kazia 30
Břanková Paula 68
Burkowska Muszka 14
Cerber Wera 61, 64-68, 77, 84
Charzewska Janina (Bilewiczowa) 79, 80, 84, 89
Chutkiewicz Stasia 40
Demouth 16, 17, 33, 48, 51
Dobnik Kristjanka 69, ryc. 33 i 34
Dobruška 71
Ena 38
Franko Iwan 68, 155
Franko Vera (Wiera) 68, 82, 154, 155
Georgetta (Żożu) 73, 75, 81
Gorzelańska Janina patrz Stolle Jašlis
Grabska Janka 43
Greta 35
Hermes Magda 33, 37
Irka 14
Jabłczyńska 69
Jackowska Oleńka 12
Janka 34
Jankowska Joasia (Szydłowska) 54
Jasielska 39
Jaszczukowa Marysia 49
Jaszka patrz Stolle Jašlis
Jerzy (Georges, Żorzyk) 30
Jesica 65
Kegu Marija 69, 154
Kościeszukowa 39
Kozikowski 83
König 18, 38, 39
Kraśnińska Zosia 44
Lipińska Irka 47
Lipska Myszka 20, 53-55
Lipski Wacek 20, 30, 31, 53
Liza 70
Lubow 39, 47
Łaniewska 39
Maciejewska Janina patrz Stolle Jašlis
Madejczyk Amelia 152
Madejczyk Edmund 152
Mader Helga 68

Malinowski Czesław (Lula) 121,
151-154
Martynek Zyta 73
Marusia 45, 47
Mengele 38
Mierzejewska Hanka 48
Miszewska Wanda 49
Miszkin Mieczysław 153-154
Nadia 44
Najniger B. 109
Orli (Aurelie) 33, 35, 42, 48, 51
Orłosiowa Wanda 14
Ostaszewska Emilia (Mila) 14, 18
Ovole 39, 40
Panenková 36
Pélétier 16
Perzanowska Wanda 12, 17-19,
21, 22, 31, 39, 40, 44, 47
Petersówna Irena 14
Petersówna Wanda 14
Piechowiak 30
Prausová 36
Protasowicka Hanka 14
Raszulówna Irka 62
Rozner Marynka 43
Rymkiewicz 43
Sałacińska 43, 48
Schuster 35, 36, 48
Smrhová Lida 68
Starostka Stenia 49
Stolle Jašlis (Jaszka, Janina Go-
rzelańska, Janina Maciejew-
ska) 69, 75, 77, 78, 84, 135,
154
Stypułkowska Halina 14, 19
Szablowska Inka 44
Szpiterówna Muszka 38
Szuman Halina 110-113
Szydłowska Joasia patrz Jan-
kowska Joasia
Tarchalski Bogdan 30, 43, 44, 79
Teleżyńska Jadwiga 11
Tetmajerówna 39
Topolska 69
Walewska Maria 45
Wdowska Ziućka 55
Wiktor Wiktorowicz 45
Wróblewska Zosia 14
Żożu patrz Georgetta
Żurowska Kama 11, 12
Żurowska Marysia 11, 12, 14

Nazwiska występujące na reprodukowanych stronach pamiętnika

- ryc. 15 – m.in. Andrée Pequet
ryc. 16 – m.in. Marinette Cauchy
ryc. 17 – Kaufmann, Henriette
Depaillet i Susanne Matier (?)
ryc. 18 – Jackie Guyet i Matylida
Siwek
ryc. 19 – Mariette Pinest (?) i Marc
Le Guilleme
ryc. 20 – Violette Boyé i Marie
Braunová
ryc. 21 – Paula Břenková i Vera
Franko
ryc. 22 – Elsbeth (?) Drescher
i Helena Lincka (?)
ryc. 23 – m.in. Bronka Filipczyń-
ska, Genia Stefańska, Hala
Gołaszewska, Jadzia Pio-
trowska, Zosia Pawłowska,
Nina Podlewicz (?), Anna No-
wakowska, Maria Kopa, Ste-
fania Stanisławska, Maryla
Zajac, Antola Mede (?) i Ste-
fania Budniakowa
ryc. 24 – Taque i Lida Smrhová
ryc. 25 – Joh. (Jašlis) Stolle
ryc. 26 – Jašlis (Stolle) i Betty
Perrache
ryc. 27 – Halina Sobczak
ryc. 28 – Line (?) Jolivet i Simoni
Toussaint
ryc. 29 – Janina Dobrowolska
i Pilote
ryc. 30 – „Janina” Bilewiczowa
i Otilie Husemann
ryc. 31 – Ziuta Jabłczyńska i Ger-
maine De Joncbheere (?)
ryc. 32 – Lija Vesel i Marija Kegu
ryc. 33 – Kristjanka Dobnik
ryc. 34 – Kristjanka Dobnik i Car-
men Vidal
ryc. 35 – Pina Babnik i Adam La-
chowicz
ryc. 36 – m.in. Julia Grisot d’Allan-
ce (?)
ryc. 37 – m.in. Magdeleine de Neuf-
ville
ryc. 38 – m.in. Odette Dégironde
i Pawecki

Spis treści

Transport	5
Obozy.	7
Majdanek	9
Oświęcim	24
Ravensbrück	52
Neu Rohlau	57
Zwodau	63
Wiersze, teksty piosenek, referat.	85
Wiersze z Zwodau 7-ego maja	87
Inwokacja.	90
Ognisko – Zwodau	91
Ojczy nasz – Zwodau	92
Referat wygłoszony na ognisku w Zwodau: Niemcy i ich przemiany strukturalne, społeczne i kulturalne od 1939 r. do 1945 r. włącznie	93
Pasiaki – Majdanek	97
Wesoły na Majdanku dzień	98
Pasiaczko – Majdanek.	99
Zamek	100
Gdy obóz ujrzałam – Majdanek.	101
Wierzby – partyzantka	102
Choć biedy dwie – Oświęcim	103
Marsz za druty – Oświęcim	104
Pięć kominów – Oświęcim	107
Nie płacz, mamo	109
Droga Krzyżowa	110
Piekło	111

Jak Ty, Chryste	112
Pytania dziecka	113
Uzupełnienie do Oświęcimia	115
Ilustracje	117
O autorce wspomnień	151
Skorowidz osób	157
Nazwiska występujące na reprodukowanych stronach pamiętnika	159